Colour Chart #13

Inches
Centimetres

Blue | Cyan | Green | Yellow | Red | Magenta | White | 3/Color | Black

DANES PICTA .COM

R G B WH GR BL Grey Scale #13 C M Y K

DANES PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

BIBLJOTEKA PRZYGÓD i PODRÓŻY

VASCO DA GAMA

Droga do Indyj Wschodnich

BIBLJOTEKA PRZYGÓD i PODRÓŻY

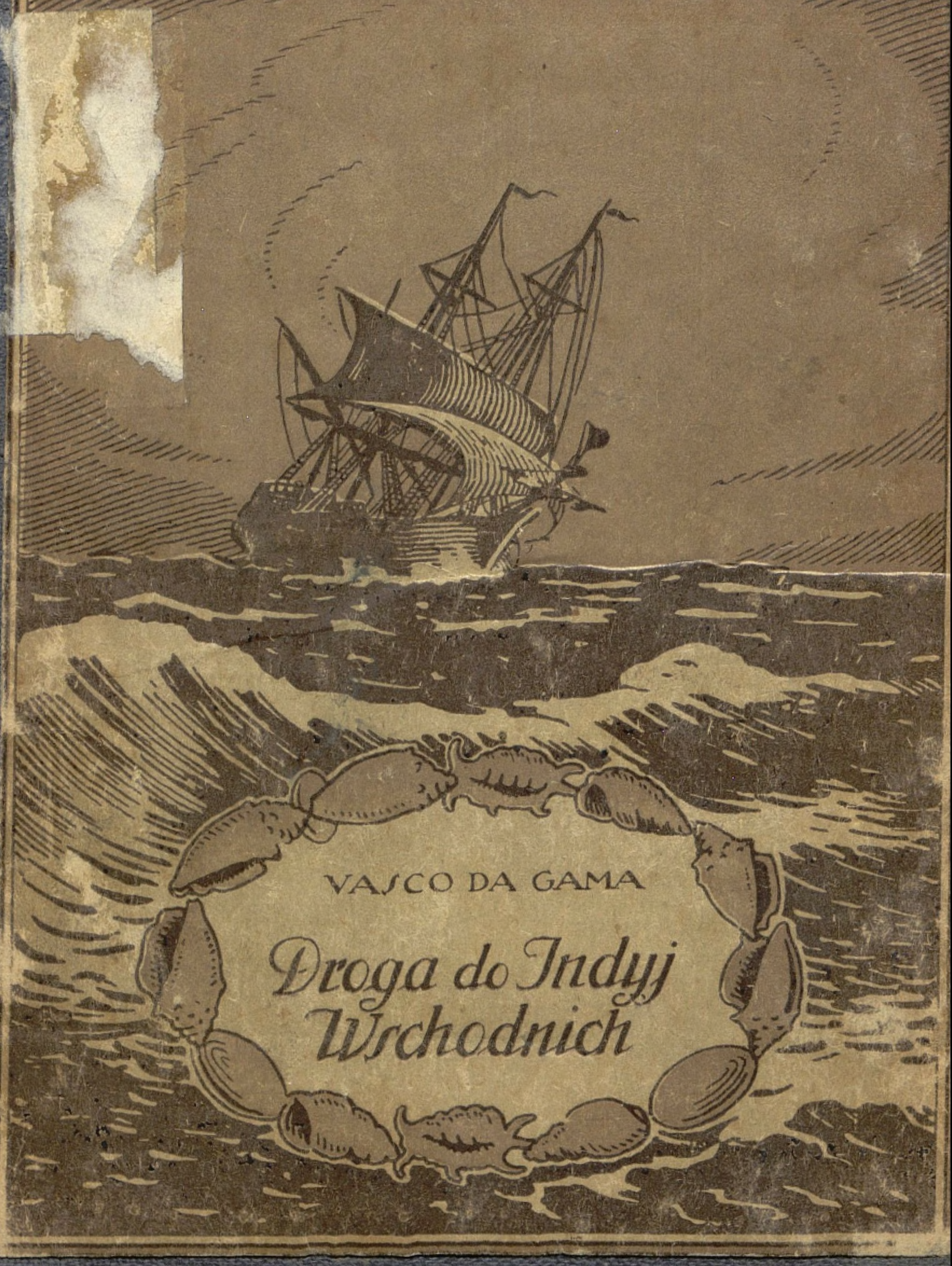

VASCO DA GAMA

Droga do Indyj Wschodnich

BIBLJOTEKA
PRZYGÓD
i PODRÓŻY
1

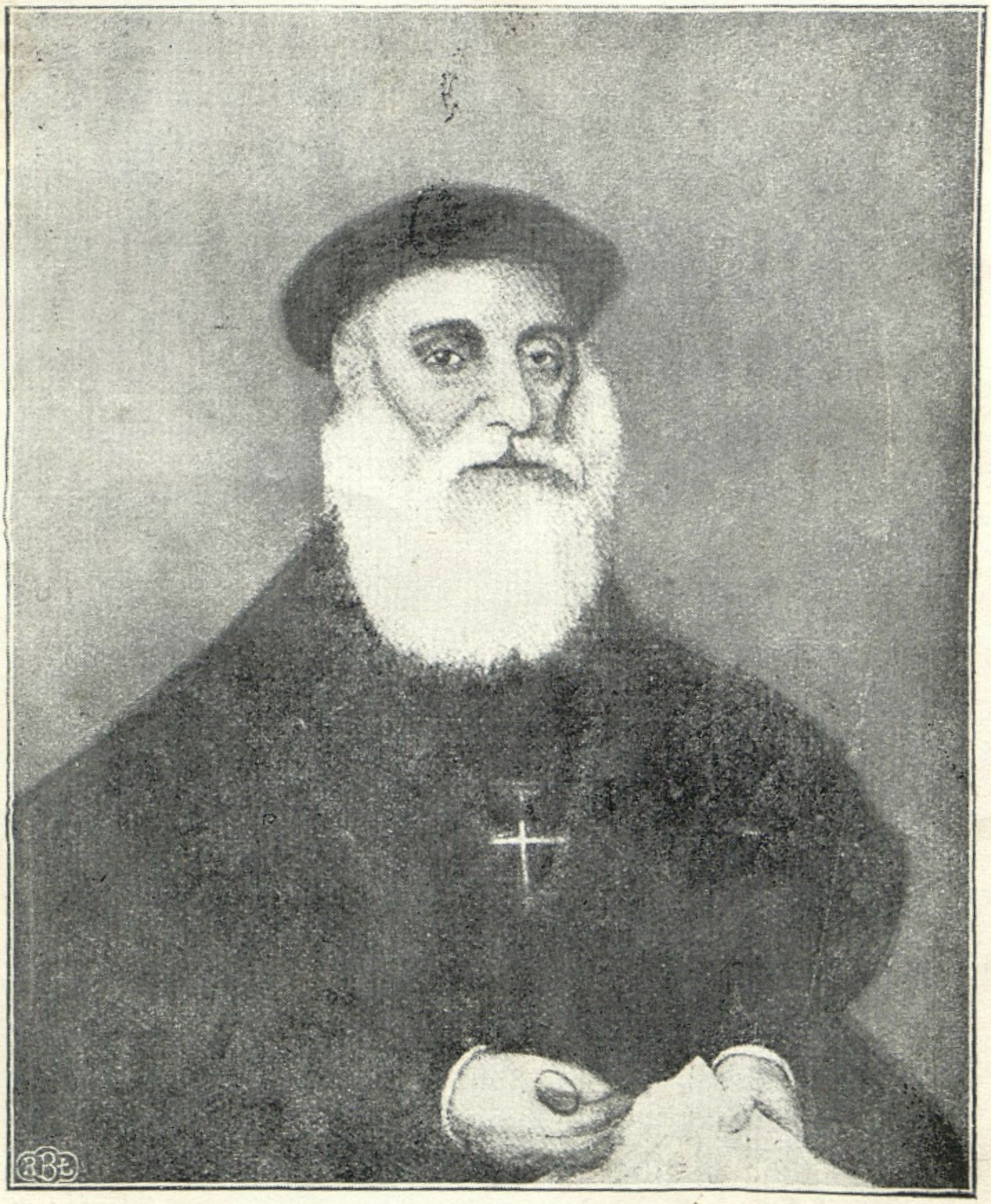

VASCO DA GAMA

Oryginał w Lizbonje.

VASCO DA GAMA

DROGA DO INDYJ WSCHODNICH

Według źródeł współczesnych opracował

Dr. H. PLISCHKE

Biblioteka Szkolna
Stow. Szkoln. im. M. Konopnickiej
w ŁODZI.
Nr. 240/176.

NAKŁADEM LUDWIKA FISZERA :: ŁÓDŹ—KATOWICE

WBP
Łódź
24778
23.XI.59 v.
860-3

Przełożył Marceli Tarnowski

Biblioteka ... Szkół. Podst.
16967/1
im. K. Dzierżyńskiego

Drukiem Jana Baranowskiego w Łodzi.

ZNACZENIE PODRÓŻY VASCO DA GAMY DO INDYJ WSCHODNICH DLA POLITYKI ŚWIATOWEJ.

Wieści o dalekim Wschodzie, o otoczonych cudami Indjach z ich bajecznemi skarbami, opowiadania o legendarnem, gdzieś na Wschodzie położonem państwie arcykapłana Jana[1], podniecały bardzo umysły Zachodu w w. XV. Skłoniły one syna króla portugalskiego João I, Dom Henrique (ur. 1394), do zainteresowania się możliwością dotarcia do tych krain. Obok celów mocarstwowych i handlowo-politycznych, które zmierzały do tego, aby wydrzeć zyskowne Indje kupcom arabskim i weneckim, wpływały na Dom Henrique decydująco motywy religijne, skłaniające go do odkrycia nowej drogi do Indyj Wschodnich, niezależnej od drogi śródziemnomorskiej i drogi kupców Wschodu. Przez odkrycie tej drogi chciał on zarazem zadać cios wielowiekowemu wrogowi chrześcijaństwa, islamowi, którego groźne niebezpieczeństwo stało przed oczyma zwłaszcza chrześcijańskim mieszkańcom półwyspu Pirenejskiego;

chciał on ugodzić tem przedewszystkiem szermierzy islamu, Arabów, zwanych wówczas jak i później Maurami, i zmusić ich do poddania się chrystjanizmowi. Ze względu na te dążenia wchodzili przedewszystkiem pod rozwagę najbliżsi sąsiedzi Portugalji, Marokanie. Jako dwudziestoletni młodzieniec zorganizował Dom Henrique wyprawę na Marokko, owładnięcie którem miało być pierwszym krokiem Portugalji ku zwalczeniu mahometanizmu i zdobyciu Indyj. W roku 1415 wyruszył on z dobrze uzbrojoną flotą, aby zająć Tanger. Lecz prądy morskie poniosły małe żaglowce XV wieku nie w pożądanym kierunku, ale do Ceuty. Warownia ta, położona na wybrzeżu afrykańskiem nawprost Gibraltaru, została w sierpniu 1415 zajęta przez Portugalczyków. Zdobycie odbyło się prawie bez użytku broni. Gdyż Portugalczycy zjawili się przed tą miejscowością, unikaną wówczas ze względu na korsarskie zaludnienie, zupełnie niespodzianie. To powodzenie zapoczątkowało wielkie dzieło odkrywcze i kolonizacyjne Portugalji w XV i pierwszej połowie XVI wieku. Portugalczycy postanowili teraz umocnić się w Marokku na stałe i wniknąć głębiej w wybrzeże afrykańskie ku południowi, aby tą drogą dotrzeć do

chrześcijańskiego państwa arcykapłana Jana i dalej na wschód do Indyj. W polityce światowej infanta Dom Henrique grał ten kraj arcykapłana Jana,—który wedle wieści i przedstawień z XV w. miał się znajdować w górach Abisynji, gdzie istotnie krzewiły się silne sekty chrześcijańskie, — o tyle ważną rolę, że spodziewano się znaleźć w nim wschodniego sprzymierzeńca w walce z wrogiem chrześcijaństwa, znienawidzonym islamem. Na mapach świata, pochodzących z wieku XIV i pierwszej połowy XV oznaczono według nauk, zaczerpniętych jeszcze z geografji starożytnych, bieg Nilu na południu od Sahary, jako posiadający kierunek zachodni, aż przy zachodnim wybrzeżu Afryki, w okolicy dzisiejszego ujścia Senegalu, dosięgał on oceanu Atlantyckiego. Dalej jeszcze na południe niektóre z tych map, zapewne na wzór arabskich lub na zasadzie wieści ze starożytności, określają względnie prawdziwie bieg wybrzeża afrykańskiego od zatoki Gwinejskiej wokół przylądka Dobrej Nadziei do Afryki wschodniej, i to dla okolic, które Zachód poznał dopiero w końcu XV stulecia dzięki odkryciom portugalskim. Na tej drodze wodnej, idącej od zatoki Gwinejskiej wpoprzek Afryki ku

biegowi Nilu i do Abisynji, zamierzał Dom Henrique wysłać okręty portugalskie na wschód. Dla przygotowań do tych wypraw ugruntował on w Sagres, koło przylądka św. Wincentego, południowo-zachodniego krańca Portugalji, zakład naukowy, gdzie w obliczu fal oceanu Atlantyckiego prowadzono studja żeglarskie i geograficzne i kształcono młodzież portugalską w zawodzie żeglarza i odkrywcy. Tutaj, w Sagres, żył Dom Henrique myślą o urzeczywistnieniu swych planów politycznych w ascetycznej prawie wstrzemięźliwości. On sam nigdy już więcej nie wyruszył na morze, ale uzbroił liczne ekspedycje, które usiłowały przy zachodniem pobrzeżu Afryki przedrzeć się ku południowi. Prawie co rok na rozkaz jego opuszczały, ojczyznę dwa okręty. Ta niezmordowana działalność, nie uginająca się wobec niepowodzeń, przyniosła jemu, który nigdy nie brał udziału w większej wyprawie morskiej, przydomek „Żeglarza".

W roku 1418, w trzy lata po zdobyciu Ceuty, pierwsza z tych ekspedycyj opuściła brzegi Portugalji. W 16 lat później Portugalczycy odkryli przylądek Bojador. Gdy Dom Henrique zmarł w roku 1460, dotarli oni już poza Rio de Grande i poza wyspy Bissagos

na południe. Te podróże ku zachodnio-afrykańskiemu pobrzeżu połączone były dla żeglarstwa w początku XV wieku z nieprzezwyciężonemi trudnościami. Harmattany, wiatry, wiejące na pustynnem wybrzeżu na południe od Marokka z głębi Sahary i Gwinei Górnej ku oceanowi Atlantyckiemu i mącące widok tumanami unoszonego pyłu, były i są nader niebezpieczne dla małych statków. Dlatego to przez długi czas, aż do wystąpienia Henryka Żeglarza, uważali Portugalczycy przylądek Nâo — co znaczy „Nie“ — za najbardziej na południe wysunięty punkt zachodniego pobrzeża Afryki, do którego można dotrzeć. Poza ten przylądek nie ważono się płynąć. Dopiero Dom Henrique wyprawami swemi obalił to uprzedzenie. Te coroczne ekspedycje pochłonęły sumy, które jak na ówczesne czasy były olbrzymie, zwłaszcza dla małej i ubogiej Portugalji. Portugalja sama nie mogła finansować tych ryzykownych przedsięwzięć. Dom Henrique zużytkował na ten cel dochody Zakonu Chrystusowego, którego zadaniem było zwalczanie niewiernych, a którego on był obranym wielkim mistrzem. Po śmierci Dom Henrique'a wyprawy do wybrzeża zachodnio-afrykańskiego ustały prawie zupełnie.

Zwłaszcza że nie przyniosły dotąd zdobyczy, odpowiadających włożonym kosztom. Nie potwierdziła się także nadzieja, aby można tam było znaleźć drogę morską, wiodącą do wschodniego wybrzeża Afryki i państwa arcykapłana Jana. A choć w latach siedemdziesiątych zapał do tych wypraw osłabł wśród Portugalczyków znacznie, to jednak działalność Henryka Żeglarza przyniosła Portugalji prócz odkrycia tych obszarów tę jeszcze korzyść, że papieże Mikołaj V (1447—1455) i Kalikst III (1455—1458) przyznali te ziemie Portugalji, jako obszary odkryte, gdzie innym mocarstwom wzbronione było przebywać.

Gdy w r. 1481 na tron portugalski wstąpił João II, plany Henryka Żeglarza zostały znowu czynnie podjęte. Odtąd wystąpiło silniej na pierwszy plan dążenie dotarcia do Indyj *Wschodnich, kraju korzeni.* Korzenie i inne produkty, które Zachód zdawiendawna sprowadzał z dalekiego Wschodu, były wówczas towarem wyjątkowo drogim, a handel niemi spoczywał w rękach Arabów, od których przejęły go też północno-włoskie miasta handlowe, jak Wenecja i Genua. Handel ten został niezwykle zagrożony, gdy w roku 1453 udało się Turkom zawładnąć Konstantynopolem i ująć

mocniej w swe ręce wschodnie obszary morza Śródziemnego. Walki morskie, jakie Wenecjanie staczali w latach 1463—1479 z Turkami, aby uratować swój zyskowny handel śródziemnomorski, nie powstrzymały tego rozwoju. Dlatego to stosunki handlowe Zachodu przez wschodnie kraje morza Śródziemnego ze Wschodem były prawie sparaliżowane. Zostały one zupełnie przerwane, gdy w r. 1517 Turcy zajęli Egipt i odebrali w ten sposób Arabom panowanie nad morzem Czerwonem. Ten rozwój zmuszał do poszukiwania dla ruchu handlowego drogi morskiej, która byłaby wolna od samowoli kupców tureckich i innych azjatyckich oraz wschodnich, a także niezależna od wpływającego ujemnie na ceny handlu pośredniego. Dążenie to otrzymało podkład realnie polityczny dzięki przekonaniu, że ocean Atlantycki łączy się z Indyjskim—a mianowicie, jak sądzono w XV stuleciu, koło nieznanego wówczas południowego krańca kontynentu wschodnio-afrykańskiego. W latach 1482—1483 i 1484—1486 Portugalczyk Diogo Câo płynął tą wytkniętą przez Henryka Żeglarza drogą ku południowi. W drugiej z tych podróży brał udział Marcin Behaim, norymberczyk, który dla swej wiedzy astronomicznej bardzo

był w Portugalji ceniony i ogłosił tam ulepszone przez swego niemieckiego rodaka pomiary gwiazdy św. Jakóba. Podczas podróży tej stwierdzono pewnego dnia, że zawartość soli w wodzie morskiej zmniejszyła się, z czego wywnioskowano pobliże jakiejś wielkiej rzeki, którą też wkrótce napotkano. Była to rzeka Kongo, którą popłynięto spory kawał drogi, sądzono bowiem, iż znaleziono w niej poszukiwaną oddawna drogę na Wschód. Potem Diogo Câo ruszył dalej na południe, aż wybrzeże przyjęło charakter pustynny. Portugalczycy znajdowali się przed pustynią niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej. Dotarli oni do 21° 48″ szer. płd., w okolicy dzisiejszego przylądka Cross. Tam wznieśli swój najbardziej na południe wysunięty kamienny słup herbowy, który dziś znajduje się w Muzeum Morskiem w Berlinie. Takie słupy kamienne, zwane padrâos, zwykli Portugalczycy wbijać w swych podróżach jako znak panowania swego na pobrzeżach nowoodkrytych lądów. Diago Câo, zadowolony z rezultatów swej wyprawy, powrócił do ojczyzny, gdzie Behaim został przezeń sowicie wynagrodzony.

W owym czasie z polecenia króla João II poczęli Portugalczycy ciągnąć zyski kupieckie

że swych zachodnio-afrykańskich posiadłości. Na złotodajnem wybrzeżu założono fort Jorge da Mina. W roku 1483 zajęto wyspy Gwinei, São Thome i Principe i wkrótce zaopatrzono je w fortyfikacje. Na wybrzeżu gwinejskiem zatrzymywały się stale okręty portugalskie, które nabywały od Negrów drogą wymiany złoto i kość słoniową. Od roku 1481 działał tam Bartolomeo Diaz. Gdy tylko Câo powrócił ze swej owocnej podróży, powierzono Bartłomiejowi Diaz trzy okręty: jako okręt admiralski Christovâo, nadto St. Pantaleâo, oba o pojemności około 50 tonn, oraz okręt ładunkowy, którego kapitanem został Pedro Diaz, młodszy brat dowódcy głównego całej wyprawy. Bartolomeo Diaz otrzymał polecenie dotarcia wzdłuż wybrzeża afrykańskiego dalej jeszcze na południe, poza obszary, odkryte przez Diogo Câo, i nawiązania kontaktu z Indjami. W roku 1487 opuścił on ojczyznę i dotarł istotnie dalej jeszcze na południe, niż jego poprzednik. Na początku roku 1488 okręty ekspedycji Diaza zaskoczone zostały przez straszną burzę, która wiele dni miotała je po morzu. Diaz nie wiedział już wreszcie, gdzie się znajduje, i po uspokojeniu się burzy wziął kierunek północny. Wówczas na horyzoncie wyłoniło

się górzyste wybrzeże,—a skraj jego, jak ze zdumieniem skonstatowali Portugalczycy, ciągnął się na północ. W lutym zarzucił Diaz kotwicę w dzisiejszej zatoce Mossel. Wybrzeże biegło ciągle jeszcze na północ, co skłoniło go, aby ruszyć wzdłuż niego. Dotarł aż do ujścia rzeki, którą ochrzczono Rio de Infante, a która dziś nosi miano Wielkiej rzeki Rybnej. Diaz sądził, iż znalazł w ten sposób drogę wodną do Indyj. Załoga domagała się jednak powrotu, tak iż Diaz nie mógł kontynuować swej wyprawy do ostatecznego rezultatu. Żeglując ku zachodowi, popłynął on teraz wzdłuż wybrzeża, aby dotrzeć do południowego krańca Afryki, który ze względu na burzę, jakiej w pobliżu tego przylądka uległ w styczniu 1488 roku, nazwał Cabo tormentoso, przylądkiem Burz. Po 16 zgórą miesiącach powrócił wreszcie do ojczyzny. Gdy dowiedziano się o wynikach jego ekspedycji, otoczono go szacunkiem, a król przemianował przylądek Burz na Cabo da boa esperanza, przylądek Dobrej Nadziei. Gdyż nadzieja odkrycia przezeń drogi do Indyj była pewna.

W tym samym czasie wyruszył z polecenia João II Pedro de Covilhâo przez Kair na ocean Indyjski, zwiedził wybrzeża Indostanu, między

innemi miasta handlowe Cananor[2], Calicut[3] i Goa[4], które w kilkadziesiąt lat później stanowiły dla Portugalczyków punkty oparcia ich państwa kolonjalnego, i popłynął z kupcami arabskimi przez ocean Indyjski ku wybrzeżom Afryki wschodniej, które zwiedził aż do Sofali pod 20° szer. płd. W ten sposób dotarł Portugalczyk Covilhâo poza ujście Zambezi na południe, aż do wybrzeża, na którego lądzie leżało dawne państwo murzyńskie Monomotapa, o którem wspominają historycy portugalscy XVI wieku i gdzie w r. 1871 wirtemberski nauczyciel ludowy Karol Mauch odkrył wielkie ruiny miast Simbabaye i Fura, znanych już podobnież Portugalczykom w wieku XVI. Przez długi czas toczył się spór, komu przypisać budowę tych wielkich kamiennych fortyfikacyj. Portugalczykom bowiem z pewnością nie zawdzięczają one swego powstania, jak przyjmowano dawniej. Możliwe, że był to wpływ arabski, który oddziaływał przecież na port Sofala już w X—XII wieku, i że pod tym wpływem wznieśli te budowle tubylcy książęta murzyńscy. Możliwe jednak, że są one jeszcze starsze. Kupcy arabscy z pewnością zostali tam zwabieni przez złoto, które w głębi kraju i dziś jeszcze jest znajdowane, a którego

obecność tam skłoniła słynnego badacza i odkrywcę niemieckich kolonij afrykańskich, Karola Petersa, do oryginalnego, choć niełatwego do przyjęcia przypuszczenia, iż ruiny te są pozostałością starożytnego Ofiru[5] Salomona.

Przybywszy do Kairu, wysłał Covilhâo do Portugalji raport o swych przeżyciach. Sam zaś udał się do Ormuzu, a wreszcie do rzekomego państwa arcykapłana Jana, Abisynji, gdzie się ożenił i pozostał kilkadziesiąt lat. Lecz raporty jego trafiły do Portugalji i potwierdziły nadzieje, jakie Bartolomeo Diaz pokładał w Wielkiej rzece Rybnej, sądząc, iż otwiera ona drogę wodną z Portugalji do Indyj.

Naskutek tak pomyślnych rezultatów uplanował João II natychmiast nową wyprawę, której uskutecznienie musiało jednak zostać odłożone, gdyż króla zaabsorbowały bardzo stosunki portugalskie. Wówczas to nadeszły wieści, że Kolumbowi udało się w służbie hiszpańskiej odkryć po drugiej stronie oceanu Atlantyckiego nowe lądy. Sądzono wówczas, że wybrzeża te są wschodnim skrajem starego świata, ziem Cathay (Chiny) i Cipangu (Japonja), gdzie kupiec wenecki Marco Polo spędził w XIII wieku 24 lata. Hiszpanie, podobnie

jak czynili Portugalczycy ze swemi odkryciami w Afryce, kazali sobie potwierdzić przez papieża monopol odkrywczy dla tych obszarów. W roku 1493 papież Aleksander VI podzielił kulę ziemską na obszary hiszpański i portugalski, których granicą miała być linja, poprowadzona o 100 legua[6] na zachód od jednej z wysp Azorskich czy też Zielonego Przylądka przez całą kulę ziemską. Ponieważ Hiszpanie i Portugalczycy nie wiedzieli, co począć z tem niedokładnem określeniem papieża, zawarli w r. 1494 ugodę w Tordesillas, mocą której linja demarkacyjna biegła o 370 legua na zachód od Azorów, a więc na zachodniej półkuli zlewała się z 46 stopniem szer. zach. od Greenwich. Wszystko, coby było odkryte na wschód od niej, miało należeć do Portugalji, na zachód zaś — do Hiszpanji. Ponieważ w końcu wieku XV nie znano jeszcze obwodu kuli ziemskiej, niepodobna było ustalić dokładnie, gdzie biec będzie ta linja demarkacyjna na wschodniej półkuli. O te na wschodzie położone obszary graniczne powstał więc między Hiszpanją a Portugalją spór, który przyjął formę tem ostrzejszą, że szło tu o posiadanie obszarów, które dla XV i XVI stulecia były niezwykle cenne ze względu na swe bogactwo korzeni-

Biblioteka ... Miast. Publ.

João II zmarł w rok po podpisaniu traktatu w Tordesillas. Następca jego Manuel podjął plany swego poprzednika z całą świadomością celu. Zadania nowej ekspedycji portugalskiej były jasno określone przez zdobycze podróży Bartłomieja Diaz i raporty, nadesłane przez Pedra de Covilhão. Manuel rozejrzał się teraz za odpowiednim dowódcą wyprawy. Powinnoby być pożądanem, aby kierownictwo ekspedycji objął wypróbowany i zasłużony Bartolomeo Diaz. Ale królowie portugalscy hołdowali zasadzie, by do przedsięwzięć, które mogą przynieść sławę i powodzenie, nie używać stale tych samych ludzi. W mądrem przewidywaniu unikali bowiem zbytniego wywyższania ludzi przez sławne czyny, aby chwała ich nie zaćmiła blasku korony. Dlatego też wybór Manuela padł na Vasco da Gamę, zaś Bartolomeo Diaz, którego zdolności chciano również wykorzystać, miał mu pomagać w przygotowaniach do wyprawy. Diaz popłynął nawet z eskadrą Vasco da Gamy aż do wysp Kanaryjskich, skąd udał się do swego nowego miejsca działania, fortu Jorge da Mina.

Vasco da Gama pochodził z poważnej rodziny szlacheckiej, osiadłej w okolicy Alemtejo. Jako trzeci syn swych rodziców ujrzał on

światło dzienne w roku 1469 w Sines, małej miejscowości, położonej na wybrzeżu atlantyckiem. Miał więc 28 lat, gdy rozpoczynał swą podróż odkrywczą w roku 1497. Dlaczego Manuel wybrał właśnie jego, nie udało się ustalić. Dotychczas nie położył Vasco da Gama wielkich zasług. Ale był młody i dojrzały do trudów podróży, i nieżonaty, a więc nie było obawy, aby więzy rodzinne odwiodły go od pomyślnego przeprowadzenia wyprawy. Przygotowania do podróży uskutecznione zostały przezornie przy pomocy Diaza, choć podnosiły się głosy przeciw wyprawie. Lękliwe umysły wskazywały na to, że siły finansowe i gospodarcze małego państwa portugalskiego nie wystarczą, aby przedsięwzięcie to doprowadzić w przyszłości skutecznie do końca. Zwracali przedewszystkiem uwagę na wrogi stosunek, jaki bezwarunkowo zająć będzie musiała zarówno Wenecja, jak i Arabowie, którzy nie będą chcieli pozwolić na ograniczenie swego handlu. Ale wszystkie te przestrogi nie odnosiły skutku. Manuel kazał zbudować dwa nowe trójmasztowce, o pojemności 120 i 100 tonn, które nazwano Raphael i Gabriel. Do tego dokupiono 50-otonnowy okręt Berrio i statek ładunkowy. Berrio była to karawella, szybki statek

wywiadowczy, podczas gdy Raphael i Gabriel zbudowane były szerzej i potężniej.

Vasco da Gama otrzymał daleko idące pełnomocnictwa. Przedewszystkiem pozostawiono mu do wyboru wystąpienie w Indjach Wschodnich w charakterze wysłannika lub kupca, zależnie od okoliczności i przyjęcia, jakiego dozna. Dano mu listy do owego chrześcijańskiego władcy, który miał rzekomo panować w Abisynji, kraju arcykapłana Jana, i do książąt indyjskich. Okrętem Gabriel dowodził Vasco da Gama sam. Dowódcą Raphaela został starszy jego brat, Paulo da Gama. Karawellę Berrio prowadził Nicolao Coelho. Jako tłumacz w stosunkach z plemionami murzyńskiemi jechał Martin Affonso, który w dzielnicy Kongo przyswoił sobie znajomość dialektów tubylczych, czyli języków Bantu. Fernâo Martins towarzyszył ekspedycji dla swej znajomości języka arabskiego. Załoga składała się z około 150 ludzi. Nadto jeszcze dwunastu skazanym na śmierć złoczyńcom kazano jechać z wyprawą. Mieli oni zostać wysadzeni w ważnych miejscach, przewiedzieć się tam o kraj i ludzi, a na powrotnej drodze być zabranymi zpowrotem. Wogóle miano ich używać do niebezpiecznych przedsięwzięć.

O podróży Vasco da Gamy do Wschodnich Indyj istnieje szereg ważnych kronik i źródeł. Historycy portugalscy, którym zależało na przekazaniu potomności czynów swych ziomków-odkrywców, rozwodzą się nad nią szczegółowo. João de Barros, Damião de Goes, Fernão Lopez de Castaneda, Gaspar Correa i biskup Osorio opowiadają o podróży Vasco da Gamy mniej lub bardziej szczegółowo, różnią się jednak częstokroć w ważnych nieraz szczegółach. Wszyscy oni mają ten brak, że opisów swych nie podają z własnych przeżyć, lecz wspierają się na opisach innych. Szczęśliwym trafem zachowały się zapiski pewnego uczestnika, znane w literaturze jako „Roteiro da viagem de Vasco da Gama em 1497", a które pochodzą od żeglarza, który brał udział w ekspedycji na Raphaelu. Sprawozdanie to jest niezwykle cenne i znaczeniem swem przewyższa nawet ostatnie źródło, jakie należy jeszcze wymienić, mające za autora pewnego Florentczyka, który w roku 1499 wysłał ze swej drugiej ojczyzny, Portugalji, list do Florencji o wynikach polityczno-handlowych i kupieckich podróży Vasco da Gamy. Ponieważ autora tego listu zajmuje przedewszystkiem strona kupiecka, o istotnym przebiegu ekspedycji

mało można się z tego dokumentu dowiedzieć. Dlatego to podajemy tu sprawozdanie, oparte na dzienniku uczestnika i to bez skrótów.

Dnia 8 lipca 1497 opuścił Vasco da Gama portugalski port Rastello, położony nad Tejo, w pobliżu Lizbony. Droga wiodła przez wyspy Kanaryjskie i Zielonego Przylądka, gdzie na São Thiago[7] zaopatrzono się w mięso, wodę i drzewo. Nie trzymano się zachodniego wybrzeża Afryki, lecz—co czynią dziś jeszcze żaglowce, aby wykorzystać wiatry—zatoczono mocno ku zachodowi wygięty łuk na południe, który wiódł prawie przy wybrzeżu brazylijskiem, i zbliżono się do południowego wybrzeża Afryki w okolicy zatoki, której nadano nazwę zatoki św. Heleny[8]. Tutaj zarzucono kotwicę i zaopatrzono się w wodę do picia. Przyjazne początkowo zachowanie bronzowej ludności tubylczej uległo wkrótce zmianie i w walce, która się wywiązała, Vasco da Gama został zraniony oszczepem. Ponieważ Portugalczycy podają, iż jeden z tubylców, którego schwytali, był mały, możnaby przypuszczać, że Vasco da Gama zetknął się z Buszmanami. Buszmani, których punkty zborne i obszary łowieckie znajdują się dziś koło pustyni Kalahari, musieli

wówczas dosięgać wybrzeża. Przeciw temu przypuszczeniu przemawia jednakże opis kultury tego ludu, jaki podają źródła portugalskie.

W połowie listopada 1497 ujrzeli Portugalczycy przylądek Dobrej Nadziei, zaś 25 listopada, walcząc z wiatrami i prądami przeciwnemi, zawinęła flota do zatoki São Braz[9], dzisiejszej zatoki Mossel, gdzie dziesięć lat przedtem wylądował Bartołomeo Diaz. Tutaj, wedle otrzymanych wskazówek wyładowano okręt prowiantowy i ładunek jego podzielono między pozostałe statki. Murzyńscy hodowcy bydła, zapewne Hotentoci, nawiązali z Portugalczykami stosunki. Tłumacz murzyński Martin Affonso nie mógł się jednak z niemi porozumieć. I tu murzyni przyjęli wnet postawę zaczepną, wobec czego Vasco da Gama ruszył dalej, wbiwszy pierw w ziemię na wybrzeżu wielki drewniany krzyż i jako znak władzy portugalskiej kamienny słup herbowy. 25 grudnia dotarł Vasco da Gama wzdłuż wschodniego wybrzeża Afryki na północ aż do 30° szer. płd. i ku uczczeniu świąt Bożego Narodzenia nadał wybrzeżu temu nazwę Terra natalis. Dziś jeszcze kraina ta nosi nazwę Natal.

10 stycznia zawinęli Portugalczycy do zatoki, gdzie miała swe ujście mała rzeka.

Brak wody zmusił ich do wylądowania. Czarna ludność — byli to zapewne murzyni Bantu — przyjęła białych przybyszów życzliwie. Od tego też czasu Martin Affonso mógł też jako tako porozumiewać się z krajowcami przy pomocy narzeczy, nabytych na obszarze Kongo. Vasco da Gama nadał krainie tej nazwę Terra da boa gente, kraina Dobrych Ludzi, rzekę zaś nazwał Rio do Cobre, rzeka Miedziana. Portugalczycy znajdowali się w dzisiejszej zatoce Delagoa[10]. Droga wiodła dalej na północ koło ujścia Zambezi, gdzie Vasco da Gama stwierdził pierwsze wpływy arabskie, przejawiające się w postaci turbanów i nakrycia głowy z zielonego atłasu. Handel arabski, który dzięki opanowaniu morza Czerwonego i zatoki Perskiej dzierżył w ręku aż do końca w. XV cały ruch na oceanie Indyjskim, rozciągał się w rzeczywistości od X wieku wzdłuż wybrzeża wschodnio-afrykańskiego na południe aż do obszaru Zambezi. Naskutek tych pomyślnych spostrzeżeń nadał Vasco da Gama dzisiejszej Zambezi nazwę Rio dos bons signâes, rzeka Dobrych Znaków. I tutaj wbito słup herbowy, zarazem jednak usypano kilka mogił, gdyż klimat i szkorbut zabrały swe ofiary z pośród załogi portugalskiej. 25 lutego

wyruszyła flota dalej na północ, zaś 2 marca zarzuciła kotwicę w zatoce Mozambickiej, znalazłszy się w ten sposób całkowicie w sferze wpływów arabskich i hinduskich. Stały tu też okręty, przybyłe z Indyj Wschodnich. Jak się dowiedziano od Arabów i Hindusów, niedaleko już było do Indyj. Urzędnicy i kupcy arabscy domyślili się wnet w białych przybyszach niebezpiecznych konkurentów i, co gorsza, nienawistnych prawowiernym mahometanom chrześcijan. Wobec tego Portugalczycy musieli się mieć na baczności i nie mogli polegać ani na książętach i urzędnikach arabskich, ani na arabskich lub hinduskich kupcach, ani wreszcie na pilotach, których trzeba było przyjąć na pokład, aby znaleźć bezpieczną drogę wzdłuż wybrzeża. Lecz Vasco da Gama zdołał ze zręcznością i przezornością pokrzyżować wszelkie podstępne plany i ataki i dotarł przez Mombassę[11] do Melindy[12], gdzie zarzucił kotwicę 14 kwietnia 1498 roku. Melinda, ze swemi biało malowanemi domami, błyszczącemi w promieniach słonecznych, przypomniała Portugalczykom ojczyznę. Przyjęto ich tam także nieco życzliwiej, a na cześć białych przybyszów urządzono nawet uroczystości. Portugalczycy spotkali się tu

również po długim czasie z chrześcijanami, pochodzącymi z Indyj. Co to byli za ludzie i czy istotnie wyznawali wiarę chrześcijańską, trudno powiedzieć. Możliwe, iż byli to Hindusi, którzy czcili Krysznę, w czem Portugalczycy dosłyszeli się Chrystusa. W każdym razie ci rzekomi chrześcijanie modlili się codzień przed obrazem na ołtarzu Raphaela. Na obrazie tym przedstawiona była Matka Boska z Dziecięciem. Może przypominało im to ich hinduskie wyobrażenie o młodości Kryszny, które zbliżone jest do chrześcijańskiego.

Otrzymawszy wreszcie pilota, mógł Vasco da Gama wyruszyć 24 kwietnia w drogę przez ocean Indyjski. Pomyślne wiatry zaniosły Portugalczyków w niespełna miesiąc do wybrzeży Hindostańskich. Przybiwszy 20 maja 1498 roku do wybrzeży Indyj tuż przy Calicut, mieli za sobą spokojną, bezpieczną podróż. Droga do Indyj Wschodnich wokół południowego krańca Afryki, o którą żeglarstwo portugalskie kusiło się od 100 lat prawie, była odkryta. I tu dała się natychmiast zauważyć obawa kupców arabskich przed konkurencją białych przybyszów. Calicut bowiem, który w XV wieku był jednym z najważniejszych ośrodków hanlowych Indyj Wschodnich, znajdował się

całkowicie w mocy Arabów. Przyjazny początkowo stosunek radży indyjskiego i jego dworu szybko zmienił się pod wpływem Arabów. Vasco da Gama zdołał wprawdzie z trudem uniknąć niewoli. Udało mu się także wymienić przywiezione towary na korzenie, ale już 29 sierpnia 1498 roku musiał pomyśleć o powrocie, nie pozostawiwszy po sobie portugalskiej pamiątki. Atak licznych statków arabskich i hinduskich na flotę portugalską chybił, gdyż grom dział portugalskich przeraził okręty nieprzyjacielskie, a i burza w porę przyszła Portugalczykom z pomocą. 14 września skierował się Vasco da Gama ku wyspom Anjediva[13], aby zaopatrzyć się tam w wodę i drzewo na czas podróży przez ocean Indyjski. Portugalczycy byli stale otoczeni szpiegami. Z trudem i tylko dzięki szczęśliwym przypadkom uniknęli rozmaitych ataków nieprzyjacielskich statków. Podczas postoju na Anjediva zjawił się przed nimi jakiś człowiek, który mówił biegle po włosku i utrzymywał, iż pochodzi z Zachodu. Od wczesnej już młodości, twierdził, znajduje się on w Indjach i pozostaje w służbie namiestnika Goa, który pod jego osobistym wpływem nakazał przyjąć białych życzliwie.

Vasco da Gama słusznie podejrzewał w nim szpiega, który miał skusić Portugalczyków do nieopatrznej ufności. Kazał więc wziąć osobliwego przybysza na spytki i wówczas niefortunny szpieg wyznał, że flota arabska i hinduska ma napaść Portugalczyków, on zaś sam jest żydem, pochodzącym z Poznania, i jako dziecko sprzedany został do Indyj; tam doszedł do wysokich urzędów i zaszczytów. Żyd ten został uwięziony i zabrany do Portugalji, gdzie przyjął potem wiarę chrześcijańską.

5 października 1498 rozpoczął Vasco da Gama podróż przez ocean Indyjski na zachód ku wybrzeżom Afryki. Ponieważ wiatry nie były teraz tak pomyślne, zużył trzy miesiące czasu na przybycie do wschodnich wybrzeży Afryki. Szkorbut i inne choroby szalały na statkach. Załoga poczęła szemrać. Już myślano o powrocie do Indyj, gdy wreszcie złowieszcza cisza morska ustała i pomyślne wiatry poniosły ich ku południo-zachodowi. 2 stycznia 1499 ukazał się na horyzoncie ląd afrykański, 7 stycznia zarzucili Portugalczycy kotwicę w Melindzie. Zostali tam przyjęci życzliwie i przyjaźnie i zaopatrzeni obficie w świeżą wodę i żywność. Namiestnik arabski dał im nawet posła do Portugalji,

aby zapewnić króla o swych przyjaznych uczuciach. 13 stycznia statek Raphael musiał zostać spalony w pobliżu wyspy Zanzibar, gdyż nie starczyło już załogi do jego obsługi. 18 stycznia flota portugalska, minąwszy Zanzibar, ruszyła na południe; 1 lutego przybyła do Mozambiku[14]. Już po 20 dniach wypłynął Vasco da Gama poprzez przylądek Dobrej Nadziei na ocean Atlantycki. Teraz popłynęli Portugalczycy szybko ku północy. 25 kwietnia znajdowali się naprzeciw ujścia Rio Grande na wybrzeżu zachodnio - afrykańskiem na południe od wysp Zielonego Przylądka. W tej okolicy zaskoczyła ich burza i rozdzieliła dwa okręty, pozostałe jeszcze z ekspedycji. Vasco da Gama popłynął ku wyspie São Thiago z archipelagu Zielonego Przylądka. Nicolas Coelho zaś na mniejszym statku Berrio ruszył wprost do Portugalji, gdzie przybył do Lizbony 10 lipca 1499 roku. Vasco da Gama dopiero w końcu lata ujrzał ojczyznę.

Pierwsza portugalska podróż do Indyj Wschodnich została szczęśliwie, choć z wielkiemi ofiarami, doprowadzona do końca. Z około 160 ludzi, którzy latem 1497 roku opuścili ojczyznę, ujrzało ją po dwóch latach zaledwie 55, a więc trzecia część. Dla

Zachodu podróż ta znaczyła wiele, znaleziono bowiem niezależną od handlu arabskiego i ludów śródziemnomorskich drogę do Indyj Wschodnich, skąd można było sprowadzać cenne płody tego kraju, zwłaszcza zaś korzenie, jak pieprz, goździki, cynamon i muszkatową gałkę. Zarazem przełamane zostały przegrody, które dzieliły handel zachodni od dalekiego Wschodu wskutek zdobyczy Turków. Odkrycie tej drogi morskiej stanowiło zgubę dla włoskich miast handlowych, które zawdzięczały swój rozrost gospodarczy i polityczny właśnie handlowi temi produktami sprowadzanemi z Indyj Wschodnich przez morze Śródziemne. Dalej umniejszało znaczenie handlowe południowo-niemieckich miast, jak Augsburg, Norymberga i Passawa, które ciągnęły zyski z pośredniczenia w przewozie tych produktów przez Alpy do Niemiec. Dla Portugalczyków zaś zyski były ogromne i podróż Vasco da Gamy miała dla nich pierwszorzędne znaczenie. Na przyszłość droga do Indyj Wschodnich, a co zatem handel produktami tego kraju, były w ich rękach. A choć Vasco da Gama nie zdołał objąć dalekiej i bogatej krainy indyjskiej w stałe posiadanie Portugalji, to jednak wyprawa

jego była kamieniem węgielnym dla podbojów wieku XVI, z którego początkiem słali Portugalczycy do Indyj wielkie, zbrojne floty z liczną załogą i dzielnymi, wypróbowanymi dowódcami. Dzięki pomyślnemu rezultatowi tych wypraw udało się nietylko zniweczyć wpływy arabskie w Indostanie i wcielić kraj ten mniej czy więcej do mocarstwa światowego Portugalji, ale też dotrzeć z Indostanu przez Malakkę[15] do właściwej ojczyzny korzeni, Molukków.

Niezwykle wielkiem było też znaczenie tej podróży dla nauki. Dzięki niej poznano w ogólnych zarysach wybrzeża Afryki. Stwierdzono też, że ocean Indyjski nie był, jak sądzono w starożytności od czasów Ptolomeusza (150 r. po nar. Chr.), odosobnionem morzem, zamkniętem od południa przez most lądowy, łączący Afrykę wschodnią z Indochinami, przez wybrzeża nieznanego kraju Południa, Terra australis. Nie należy również zapominać, że ta pierwsza podróż Vasco da Gamy do Indyj Wschodnich utorowała drogę żywszej i gruntowniejszej niż dotąd wymianie kultury zachodniej oraz południowo i wschodnio-azjatyckiej.

Vasco da Gama, któremu mała Portugalja zawdzięczała wszystkie te zdobycze, po

powrocie przyjęty został przez króla z wielkiemi honorami. Zapewniono mu przywileje i korzystne warunki osobistego udziału w handlu wschodnio-indyjskim. I pozostali uczestnicy zostali sowicie wynagrodzeni.

Natychmiast po powrocie Vasco da Gamy przystąpili Portugalczycy do wykorzystania i utrwalenia zdobyczy tej pierwszej podróży do Indyj Wschodnich. W roku 1500 Dom Pedro Alvarez Cabral powiódł nową wyprawę, złożoną z dziesięciu wielkich i trzech małych żaglowców z 1200 ludźmi załogi. W drodze do przylądka Dobrej Nadziei popłynął Cabral za radą Vasco da Gamy nie wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki na południe, lecz zatoczył ku zachodowi łuk przez ocean Atlantycki. Prądy morskie zaniosły go przytem pod 20° płd. ku pewnemu lądowi, którego górzystych i zalesionych brzegów trzymał się przez kilka dni. Wybrzeżom tym nadał on miano Terra de St. Cruz, ziemia Krzyża św. i wysłał jeden ze swych okrętów do Portugalji, aby zakomunikować o swem nowem odkryciu. W przyszłości przemianowano ten ląd. Ze względu na obfitość drzewa brazylowego — barwy czerwonej — nazwano go Brazylją. Ponieważ leżał on wewnątrz dziedziny,

określonej przez układ z roku 1494 jako portugalska, przejęto go w posiadanie. Stąd to pochodzi, że w tej wschodniej połaci Ameryki Południowej dziś jeszcze słychać język portugalski, podczas gdy pozostała część Ameryki Południowej mówi po hiszpańsku. Cabral kontynuował swą podróż i drogą, odkrytą przez Vasco da Gamę, przybył do wybrzeży Indostanu, gdzie założył liczne portugalskie faktorje i stacje. Przedewszystkiem udało mu się ku rozgoryczeniu Arabów dojść do porozumienia z hinduskim księciem Koczimu[16] i Cananoru i zawrzeć z nim umowy handlowe. Odtąd Portugalczycy utrzymali się na stałe w Indostanie. Dla obrony ich i dla ugruntowania wpływu portugalskiego stancjonowano na wodach oceanu Indyjskiego okręty wojenne.

Cabral sam powrócił do Lizbony w roku 1502. Co rok prawie jeździła odtąd flota portugalska wokół przylądka Dobrej Nadziei do Indyj. Do roku 1510 odeszło tam około 132 żaglowców portugalskich, z których corocznie, zazwyczaj jesienią, powracała wielka flotylla, obładowana cennemi produktami. W roku 1502 Vasco da Gama wyruszył po raz drugi do Indostanu. Zadaniem Vasco da Gamy w tej podróży było wszelkiemi

środkami potęgi portugalskiej obalić wpływy Arabów i Hindusów na wschodniem wybrzeżu Afryki i w Indostanie. W tym celu założył on w Sofali i Mozambiku twierdze portugalskie. W roku 1503 powrócił do Portugalji z bogatym i rokującym wielkie zyski ładunkiem, który mieścił się na 13 okrętach. W uznaniu nowych swych zasług został przez króla wyniesiony do godności hrabiego.

Od roku 1505 bawił w Indjach jako pierwszy wicekról portugalski Francisco d'Almeida, Dzięki niemu Quiloa[17] i Mombassa przeszły całkowicie w ręce portugalskie. Cananor, Cochin [18] i Calicut popadły zupełnie pod wpływ portugalski. We wszystkich tych miejscowościach zakładano twierdze. Nadto zamknął d'Almeida swemi statkami wojennemi odnogi Arabską i Perską, tak iż jako jedyna droga do Indyj Wschodnich pozostała jeszcze tylko droga wokoło przylądka Dobrej Nadziei, która znajdowała się całkowicie w rękach portugalskich. W roku 1509 pierwszy wicekról portugalski zburzył pod Diu[19] na półwyspie Gudżerat flotę niezależnego jeszcze wówczas od Turków arabskiego sułtana Kairu i udaremnił w ten sposób ostatnią wielką próbę Arabów odzyskania utraconych wpływów na oceanie Indyjskim.

Gdy d'Almeida dotarł do szczytu swej działalności, musiał ustąpić godność wicekróla na rzecz Affonso d'Albuquerque'a. W owym czasie bawił w Indjach Wschodnich Fernâo Magalhâes, który później, w latach 1519—1521, w służbie hiszpańskiej dotarł na drodze zachodniej przez ocean Spokojny do Molukków. D'Albuquerque zdobył w roku 1510 Goa, o którego posiadanie długo walczyli Portugalczycy, podbił Ceylon i zajął w 1511 roku Malakkę, skąd mogli teraz Portugalczycy docierać dalej na wschód. W roku 1512 Antonio d'Abreu i Serrâo zdołali dotrzeć do wysp Molluków, ojczyzny korzeni. W Ormuzie założył d'Albuquerque silną twierdzę portugalską. W ten sposób opanowała Portugalja całe morze Indyjskie. Skutkiem tego szach perski nawiązał kontakt z wicekrólem portugalskim w Indjach. Królowie Pegu i Sjamu w Indochinach starali się o jego przyjaźń. U szczytu potęgi został on nagle zastąpiony przez nowego wicekróla. Krzywda ta przyprawiła d'Albuquerque'a o śmierć. Zmarł 16 września 1515 roku w Goa, zanim zdążył powrócić do ojczyzny.

I Vasco da Gama wyruszył jeszcze po raz trzeci do Indyj. W roku 1524 został on przez króla Joâo III mianowany wicekrólem Indyj. Szczegóły tej podróży podaje druga część niniejszej książki. Pochodzi ona z pod pióra

historyka portugalskiego Gaspara Correa, który sam bawił w Indjach za czasu d'Albuquerque'a. Vasco da Gama wysłany został do Indostanu, aby dbać o porządek w faktorjach i twierdzach portugalskich oraz położyć kres panoszącej się wśród urzędników samowoli i chciwości ze szkodą dla króla. Z surowością wziął się Vasco da Gama do dzieła, usunął wielu urzędników, między innemi Duarte de Meneses'a, namiestnika Indyj. Wśród tej działalności zmarł nagle w noc Bożego Narodzenia 1524 roku. W 14 lat później ciało jego sprowadzono do Portugalji i w roku 1539 złożono w grobie rodzinnym w Vidigueira. Zginął w nim świadomy celu, dalekowidzący, choć popędliwy odkrywca, fanatyczny chrześcijanin, o duszy prawdziwego zdobywcy.

Mała Portugalja nie zdołała na długo utrzymać swych wschodnio-indyjskich posiadłości. W początku wieku XVII na archipelagu Malajskim usadowili się Holendrzy, usuwając wyspy te z pod wpływów portugalskich. Po nich nastąpili Anglicy i Francuzi, tak iż od XIX stulecia z całej byłej potęgi portugalskiej pozostała jedynie mała wysepka Diu przy południowym krańcu półwyspu Gudżerat, port Damão na północ od Bombayu, Goa na wybrzeżu Malabarskiem[20], Macao, które Portugalczycy posiadają od roku 1557, i północno-wschodnia część wyspy Timor.

SPRAWOZDANIE UCZESTNIKA O PIERWSZEJ PODRÓŻY VASCO DA GAMY, 1497—1499.

1. Wokół przylądka Dobrej Nadziei.

W imię Boga! Amen!

W roku 1497 król Manuel, pierwszy tego imienia w Portugalji, wysłał cztery okręty w podróż odkrywczą i na poszukiwanie korzeni. Vasco da Gama dowodził tą flotą, Paulo da Gama wiódł jeden z okrętów, a Nicolao Coelho drugi.

W sobotę dnia 8 lipca 1497 roku, opuściliśmy Rastello. Oby nam Pan Bóg dał dobrą jazdę! Amen!

Następnej soboty (15 lipca) ujrzeliśmy wyspy Kanaryjskie i minęliśmy po przeciwwietrznej stronie Lanzarote. Podczas następnej nocy dotarliśmy nad ranem do wysokości Terra alte[21], gdzie przez kilka godzin łowiliśmy ryby, a pod wieczór przybyliśmy w pobliże Rio do Ouro[22].

W nocy mgła zgęstniała o tyle, że Paulo da Gama stracił komendanta z oczu, a gdy

nastał dzień (17 lipca), nie widać było ani jego, ani innych statków. Popłynęliśmy więc, jak było umówione na wypadek rozłączenia okrętów, ku przylądkowi Zielonemu.

Następnej soboty (22 lipca) ujrzeliśmy za nastaniem dnia wyspę do Sal[23], a po godzinie dostrzegliśmy trzy żaglowce, w których rozpoznaliśmy nasz statek prowiantowy i okręty prowadzone przez Mikołaja Coelho i Bartłomieja Diz (Diaz). Gdyśmy się połączyli, chcieliśmy jechać dalej, ale wiatr ucich i staliśmy aż do środy. Tego dnia około 10 rano ujrzeliśmy komendanta o jakieś 5 legua od nas. Wieczorem mogliśmy się już z nim porozumieć i daliśmy wyraz swej radości przez strzały z moździerzy i sygnały trąb.

Następnego dnia, był to czwartek 27 lipca, przybyliśmy do wyspy Santiago[24] i wesoło zarzuciliśmy kotwice w porcie Santa Maria. Zaopatrzyliśmy się tam w mięso, wodę i drzewo i uskuteczniliśmy konieczną naprawę okrętów.

W czwartek 3 sierpnia opuściliśmy port, płynąc w kierunku wschodnim. Gdyśmy 18 sierpnia jechali na południe w odległości około 200 legua od Santiago, urwała się główna reja na statku komendanta. Musieliśmy przez dwa dni i jedną noc lawirować pod fokiem

i małym żaglem głównym. Płynąc 22 sierpnia w kierunku SW[25] ujrzeliśmy wiele ptaków podobnych do czapel. Z nastaniem nocy pofrunęły one szybko ku SSO, jakby chcąc się dostać na ląd. Tego dnia, choć licząc od Santiago, oddaleni byliśmy od lądu o 800 legua, ujrzeliśmy wieloryba. W przededniu św. Szymona i Judy — był to piątek 27 października — ujrzeliśmy mnóstwo wielorybów, a także quoqas[26] i fok.

Dzień wszystkich świętych, 1 listopada, przyniósł nam liczne oznaki lądu, między innemi wodorosty morskie, rosnące tylko przy wybrzeżach.

W sobotę 4 listopada, na kilka godzin przed zachodem słońca gruntowaliśmy na głębokości 110 fadów[27], a o 9-ej ujrzeliśmy ląd. Skupiliśmy się bardziej i przywdziawszy stroje galowe, powitaliśmy komendanta strzałami z moździerzy, poczem wznieśliśmy bandery i chorągwie. W ciągu dnia usiłowaliśmy zbliżyć się do lądu. Ale nie chcieliśmy próbować dłużej i wypłynęliśmy znowu na morze.

We wtorek 7 listopada ujrzeliśmy znowu ląd. Leżał pod nami płaski, lecz głęboka zatoka wrzynała się weń. Komendant wysłał Pero d'Alenquer'a w łodzi, aby zmierzył

głębokość i wyszukał odpowiednie miejsce do zarzucenia kotwicy. Znalazł on wolne miejsce i stwierdził, że zatoka jest zabezpieczona przeciw wszystkim wiatrom z wyjątkiem północno-zachodniego. Ciągnęła się ona w kierunku ze wschodu na zachód; nadaliśmy jej miano zatoki św. Heleny.

W środę 8 listopada zarzuciliśmy w zatoce tej kotwice i zatrzymaliśmy się tam tydzień. Oczyściliśmy okręty, załataliśmy żagle i nabraliśmy drzewa.

O 4 legua na południo-wschód od miejsca naszego postoju leży ujście rzeki Santiago. Płynie ona z głębi lądu, przy ujściu jest szeroka na rzut kamienia, a podczas przypływu czy odpływu nie ma nigdy więcej jak 2—3 fady głębokości.

Mieszkańcy tego kraju mają ciemnobronzową barwę skóry. Żywią się mięsem fok, wielorybów i gazel oraz korzeniami roślinnemi. Ubierają się w skóry, a broń ich stanowią maczugi drewniane, posiadające koniec rogowy, hartowany w ogniu. Psy, których posiadają wiele, podobne są do portugalskich i szczekają jak one. Również i ptaki tej krainy podobne są do portugalskich; widać tu czajki, mewy, turkawki, dzierlatki i wiele innych

ptaków. Klimat jest umiarkowany i zdrowy, roślinność bogata.

Następnego dnia, było to 9 listopada, udaliśmy się z komendantem na ląd. Schwytaliśmy jednego tubylca, który był tak mały jak Sancho Mexia*). Człowiek ten zebrał sobie w piaszczystem ustroniu miód, który pszczoły złożyły u stóp pagórków, wznoszących się dokoła krzaków. Zaprowadzono go na statek komendanta, a gdy posadzono go do stołu, jadł wszystko, co i my. Nazajutrz komendant kazał go dobrze przyodziać i puścić na brzeg.

Podczas następnego dnia do miejsca, gdzie stały nasze okręty, przybyło czternastu czy piętnastu tubylców. Komendant zszedł na ląd i pokazał im mnóstwo najrozmaitszych towarów, aby się przekonać, czy rzeczy te znane są w ich kraju. Pokazał im między innemi cynamon, goździki korzenie, perły i złoto, ale widoczne było, że nie znali oni nic z tego. Dano im dzwonki i pierścionki z cyny. Działo się to w piątek, a takie samo przedstawienie powtórzyło się w sobotę.

---

*) Zapewne któryś z uczestników wyprawy, wyjątkowo niskiego wzrostu.

W niedzielę zjawiło się około 40—50 tubylców. Po jedzeniu udaliśmy się na ląd. Tam wymieniliśmy monety miedziane, w które zaopatrzyliśmy się zawczasu, na muszle, jakie tubylcy nosili w uszach ku ozdobie, a które wyglądały jakby były posrebrzane, dalej na ogony lisie, które umocowane na kijkach służyły im za wachlarze. Widać stąd, że cenią oni miedź bardzo. Noszą też małe łańcuszki z tego metalu, jako ozdobę uszu.

Tego dnia Fernâo Velloso, który towarzyszył komendantowi, wyraził życzenie udania się z tubylcami do ich chat. Chciał się przyjrzeć, jak ci ludzie żyją i co jedzą. Komendant ustąpił na jego usilne nalegania i pozwolił mu pójść z nimi. Gdy pod wieczór udaliśmy się na główny statek, aby zjeść kolację, Fernâo Velloso poszedł z Negrami.

Wkrótce po opuszczeniu nas schwytali oni fokę, a przybywszy na wolne miejsce u stóp pagórka, upiekli ją. Fernâo Velloso otrzymał swą część z mięsa oraz korzeni, które jedli. Po jedzeniu dali mu do zrozumienia, że nie ma towarzyszyć im dalej, lecz powrócić na okręt. Gdy Fernâo Velloso był naprzeciw okrętów, począł nawoływać; ale Negrzy pozostali w gęstwinie.

Siedzieliśmy właśnie przy jedzeniu. Gdy zabrzmiały okrzyki, komendant podniósł się natychmiast; i my zerwaliśmy się z miejsc i udaliśmy się z nim do łodzi żaglowej. Tymczasem Negrzy biegli ku wybrzeżu i jednocześnie z nami przybyli do Fernâo Vellosa. Gdyśmy się gotowali wziąć go do łodzi, poczęli miotać w nas oszczepami i zranili komendanta oraz trzech czy czterech innych. Wszystko to stało się dlatego tylko, że nie uważaliśmy ludzi tych za niebezpiecznych i udaliśmy się na ląd nieuzbrojeni. Potem powróciliśmy do okrętów.

Załadowawszy na okręty drzewo, wyruszyliśmy w czwartek 16 listopada na morze. Nie wiedzieliśmy wówczas jeszcze, o ile byliśmy oddaleni od przylądka Dobrej Nadziei. Pero d'Alenquer oceniał tę odległość na 30 legua. Ale nie był tego zupełnie pewien. Kiedy bowiem w podróży powrotnej*) opuścił przylądek rano, popłynął z pomyślnym wiatrem mimo tej zatoki i trzymał się potem otwartego morza, tak iż nie mógł stwierdzić z pewnością, gdzieśmy się znajdowali. Trzymaliśmy się więc kierunku SSO i późnym wieczorem w sobotę

---

*) Z Bartłomiejem Diaz.

przybyliśmy do przylądka. Tegoż dnia jeszcze wyruszyliśmy ponownie na morze, ale musieliśmy w nocy powrócić do lądu. W niedzielę rano uczyniliśmy znowu próbę okrążenia przylądka, ale znowu nie udało się nam, gdyż wiatr dął z kierunku SSO, podczas gdy przylądek rozciąga się właśnie w tymże kierunku, ku SO. Raz jeszcze wypłynęliśmy na morze, ale w poniedziałek w nocy powróciliśmy do lądu. Wreszcie we wtorek poszczęściło nam się; mieliśmy wiatr za sobą, otoczyliśmy przylądek i popłynęliśmy wzdłuż wybrzeża.

Tuż koło przylądka Dobrej Nadziei, ku południowi leży zatoka. Ujście ma prawie 6 legua szerokości i na tyleż wrzyna się zatoka w ląd.

Późnym wieczorem dnia św. Katarzyny, 25 listopada wpłynęliśmy do zatoki São Braz, gdzie bawiliśmy 2 tygodnie, gdyż rozbiliśmy okręt prowiantowy, a ładunek jego przenieśliśmy na pozostałe statki. W piątek, gdy znajdowaliśmy się jeszcze w zatoce São Braz, zjawiło się około 90 ludzi. Byli oni podobni do tych, których widzieliśmy w zatoce św. Heleny. Jedni z nich szli wzdłuż wybrzeża, podczas gdy inni pozostali na wzgórzach. My wszyscy, a przynajmniej większość z nas,

byliśmy wówczas na statku komendanta. Gdy tylko ujrzeliśmy murzynów, spuściliśmy łodzie, uzbroiliśmy się i udaliśmy się na ląd. Gdyśmy podpłynęli tuż do brzegu, komendant rzucił im małych dzwoneczków, które podnieśli. Zbliżyli się nawet do nas i wzięli kilka dzwonków z ręki komendanta. Byliśmy tem bardzo zdziwieni. Przecież gdy Bartolomeo Diaz tu był, uciekali przed nim i nie przyjęli jego podarunków. A nawet, gdy Diaz pewnego razu kazał zaczerpnąć wody w pobliżu brzegu, usiłowali mu w tem przeszkodzić, a kiedy poczęli z pagórka rzucać nań kamieniami, kazał Diaz strzelać i zabił jednego strzałem z kuszy. Domyśliliśmy się, iż tym razem nie uciekali dlatego, że otrzymali od ludzi z zatoki św. Heleny wiadomości, iż nie jesteśmy niebezpieczni i rozdajemy podarki.

Komendant nie chciał lądować w tem miejscu, gdyż było ono gęsto zalesione. Popłynęliśmy na wolne miejsce zatoki, a komendant dał Negrom znak, aby się zbliżyli. Ci podeszli bliżej. Komendant i pozostali kapitanowie wylądowali. Uzbrojeni majtkowie, niektórzy z kuszami, towarzyszyli im. Komendant dał Negrom na migi do zrozumienia, aby się rozeszli i zbliżali do niego tylko pojedyńczo lub parami.

Ci, co podeszli doń, otrzymali dzwonki i czerwone monety, zaco zaproponowali komendantowi pierścienie z kości słoniowej, które nosili na ramionach. Można stąd wnosić, że w kraju tym jest wiele słoni. Znaleźliśmy też ich ślady w pewnem miejscu, przy wodopoju, gdzie chodziły pić.

W sobotę przybyło zgórą 200 Negrów, młodych i starych. Przyprowadzili oni ze sobą z tuzin wołów i krów i cztery czy pięć owiec. Gdy tylko ujrzeliśmy ich, udaliśmy się na ląd. Wówczas poczęli oni grać na czterech czy pięciu fletach; jedne miały ton wysoki, inne *niski*. Jak na Negrów, którzy nie są muzykalni, była to gra bardzo piękna. Przytem tańczyli na swój sposób. Komendant dał rozkaz, by zadąć w trąby, i zatańczyliśmy na okrętach, a komendant z nami. Ceremonja skończyła się i udaliśmy się znowu na brzeg, do miejsca, gdzie już raz lądowaliśmy. Tam kupiliśmy za trzy bransolety czarnego wołu, którego zachowaliśmy sobie na niedzielę. Mięso było bardzo tłuste i tak samo smaczne, jak z wołu portugalskiego.

W niedzielę odwiedziło nas wielu tubylców, wśród nich także kobiety i dzieci. Kobiety pozostały na wzgórzach w pobliżu morza.

Przyprowadzili ze sobą wiele krów i wołów. Zebrawszy się na dwóch miejscach wybrzeża, grali i tańczyli, jak w sobotę. Jest zwyczajem tego kraju, że młodzież zatrzymuje się z bronią w zaroślach. Mężczyźni zbliżyli się i rozmawiali z nami. W rękach nosili krótkie laseczki, do których przymocowane były ogony lisie; służyło im to za wachlarze. Podczas gdy rozmawialiśmy z nimi na migi, widzieliśmy młodzieńców, czatujących w krzakach z bronią w ręku. Komendant wysłał Marcina Affonso, który był dawniej w Manicongo*), aby kupił wołu, i dał mu w tym celu kilka bransolet. Tubylcy wzięli bransolety, potem jednak zaprowadzili go za rękę do wodopoju, i wskazując na niego, zapytali, dlaczego zabraliśmy im wodę. Jednocześnie spędzili swe bydło w krzaki. Gdy to komendant zauważył, kazał się nam zebrać i zawołał też Marcina Affonso, podejrzewał bowiem jakąś zdradę. Skupiliśmy się na łodziach w miejscu, gdzieśmy pierw lądowali. Negrzy postępowali za nami. Wówczas komendant wydał rozkaz, abyśmy uzbrojeni w lance, oszczepy i naładowane kusze ruszyli z hałasem na ląd, by wzbudzić wrażenie,

*) Kongo.

jakbyśmy chcieli im coś zrobić, choć nie mieliśmy tego zamiaru.

Gdy Negrzy ujrzeli te przygotowania, uciekli szybko. Komendant, który chciał uniknąć rozlewu krwi, kazał skupić się przy łodziach. Aby im jednak pokazać, że jesteśmy silni i że od naszej woli tylko zależy, by im nic nie uczynić, kazał oddać dwa strzały armatnie z pokładu. Siedzieli oni właśnie wszyscy przed zaroślami, niedaleko brzegu. Ale już przy pierwszym strzale zerwali się tak gwałtownie, że w ucieczce pogubili broń i skóry, służące im za odzież. Gdy już byli w zaroślach, dwaj z nich powrócili i pozbierali zgubione przedmioty. Potem uciekli dalej aż do szczytu wzgórza, pędząc bydło przed sobą.

Woły są w tym kraju tak wielkie, jak w Alemtejo[28], przytem niezwykle tłuste i spokojne. Są one kastrowane i nie mają rogów. Na największych z nich kładą Negrzy siodło, plecione z trzciny, zupełnie jak w Kastylji, na to zaś rodzaj maty, i jeżdżą na nich wierzchem. Gdy chcą sprzedać wołu, wtykają mu kij w nozdrza i tak go prowadzą.

W zatoce tej, o trzy strzały z łuku od brzegu znajduje się wyspa, na której zatrzymuje się wiele fok. Niektóre z nich są wielkie

jak niedźwiedzie i mają olbrzymie kły. Atakują one ludzi, a najsilniej rzucony oszczep nie może ich zranić. Inne są mniejsze, a są też zupełnie małe. Podczas gdy wielkie wyją jak lwy, małe beczą niby kozy. Gdyśmy się pewnego dnia zbliżyli do wyspy, naliczyliśmy 3000 małych i wielkich. Oddaliśmy do nich z morza strzał armatni. Na wyspie tej żyją też ptaki, które wyglądają jak kaczki, ale nie fruwają, gdyż na skrzydłach nie mają lotek. Ustrzeliliśmy ich ile mogliśmy. Nazywają je pingwinami; wydają one głos jak osioł.

Pewnej środy, gdyśmy czerpali wodę w zatoce São Braz, ustawiliśmy tam krzyż i słup. Krzyż został sporządzony z tylnego masztu i był bardzo wysoki. Gdyśmy następnego dnia chcieli wypłynąć na morze, ujrzeliśmy dziesięciu czy dwunastu Negrów, którzy zniszczyli krzyż i słup, zanim jeszcze opuściliśmy zatokę.

Gdyśmy już mieli na pokładzie wszystko, co nam było potrzebne, odpłynęliśmy. Ale z powodu ciszy musieliśmy tegoż dnia jeszcze, przebywszy zaledwie 2 legua, zarzucić zpowrotem kotwicę.

W piątek rano, w dzień Niepokalanego Poczęcia, rozwinęliśmy znowu żagle. We

wtorek, przeddzień św. Łucji, popadliśmy w silną burzę i gnaliśmy na fok-żaglu przed wiatrem. Tego dnia straciliśmy Mikołaja Coelho z oczu. Ale już przy zachodzie słońca ujrzeliśmy go o 4 — 5 legua za nami, a i on zdawał się nas widzieć. Daliśmy mu sygnały świetlne i zatrzymaliśmy się. Pod koniec pierwszej warty dogonił nas, lecz nie dlatego, iżby nas miał widzieć za dnia, ale że wiatr zagnał go ku nam.

W piątek rano ujrzeliśmy ląd wpobliżu „Płaskiej Wyspy“, która oddalona jest o 5 legua od „Wyspy Krzyża[29]“. Odległość tej ostatniej od zatoki Sâo Braz wynosi 60 legua, tyleż jest od zatoki do przylądka Dobrej Nadziei. Od „Płaskiej Wyspy“ do ostatniego słupa, wbitego przez Bartłomieja Diaz, jest 5 legua, a od tego słupa do Rio do Infante jest znowu 15 legua.

W sobotę pozostawiliśmy za sobą ostatnie słupy, a gdyśmy jechali wzdłuż wybrzeża, ujrzeliśmy dwóch ludzi, którzy biegli po wybrzeżu w przeciwnym kierunku. Okolica jest tu nader urocza i pięknie zalesiona. Pasło się tam bydło, a im dalej się posuwaliśmy, tem piękniejszym stawał się widok, a drzewa wyższemi.

Podczas następnej nocy zarzuciliśmy kotwicę. Byliśmy już poza okolicą, do której dotarł Bartolomeo Diaz. Następnego dnia płynęliśmy aż do wieczerzy wzdłuż brzegu, póki mieliśmy pomyślny wiatr. Gdy jednak wiatr zwrócił się ku wschodowi, wypłynęliśmy na pełne morze i lawirowaliśmy aż do zachodu słońca we wtorek, póki wiatr zmienił znowu kierunek na zachodni. W nocy zarzuciliśmy kotwicę, w nadziei, że następnego dnia będziemy mogli zbadać wybrzeże i przekonać się, gdzie jesteśmy. Rano popłynęliśmy tedy na ląd. O 10-ej znaleźliśmy się znowu na „Wyspie Krzyża", która wedle naszych rachunków powinna być o 60 legua za nami! Winne są temu prądy, które są tu bardzo silne[30].

Tegoż dnia przepłynęliśmy jeszcze raz odbytą już drogą. Ponieważ przez trzy czy cztery dni wspomagał nas silny wiatr, przebyliśmy prądy, które — jak się obawialiśmy — mogły udaremnić nasze przedsięwzięcia. Jednakże Bogu w dobroci Jego spodobało się, abyśmy popłynęli dalej. Prądy nie wstrzymywały nas już. Oby niebo sprawiło, by tak było nadal!

2. Z Natalu do Mozambiku.

Do Bożego Narodzenia odkryliśmy szmat wybrzeża długości 70 legua. Tego dnia, tj. 25 grudnia, zakładając po obiedzie dodatkowy żagiel, zauważyliśmy w maszcie, pod wierzchołkiem, długą rysę, która się otwierała i zamykała. Tymczasem załataliśmy maszt linami i postanowiliśmy naprawić go gruntownie, gdy tylko przybędziemy do bezpiecznego portu.

W czwartek zbliżyliśmy się tuż do wybrzeża, gdzie łowiliśmy ryby. O wschodzie słońca ruszyliśmy dalej. Przedtem jednak urwała nam się lina, przez co straciliśmy jedną kotwicę.

Na pełnem morzu pozostawaliśmy tak długo, aż poczęło nam braknąć wody i musieliśmy gotować potrawy w słonej wodzie. Nasza dzienna racja wody została ograniczona do jednego quartilho[31]. Koniecznem więc było wyszukanie jakiegoś portu.

11 stycznia ujrzeliśmy małą rzeczkę i zarzuciliśmy kotwicę w tem miejscu. Nazajutrz udaliśmy się w łodziach na brzeg, gdzie ujrzeliśmy tłum Negrów, mężczyzn i kobiet. Byli to wielcy ludzie; pośród nich znajdował się

też wódz. Komendant wysłał Marcina Affonso, który długo przebywał w Manicongo, oraz kilku innych marynarzy na ląd. Zostali tam przyjęci życzliwie. Potem posłał komendant wodzowi bluzę, parę czerwonych spodni, maurytańską czapkę i bransoletę. Wódz kazał powiedzieć, że chętnie da nam wszystkiego, co będziemy z ziemi jego potrzebowali. Przynajmniej Martin Affonso tak go zrozumiał. Tej nocy Martin Affonso i jego towarzysze udali się z wodzem do jego wsi, podczas gdy my wróciliśmy na okręty. Po drodze do osiedla wódz wystroił się w nasze dary, a kogo tylko spotykał po drodze, mówił z dumą: „Patrz, co mi podarowano!“ Ludzie zaś z radością klaskali trzy - cztery razy w dłonie. Powtarzało się to aż do przybycia do wsi. Tutaj wódz przeszedł dumnie w swym stroju przez całą wieś, zanim udał się do swej chaty. Gości kazał ulokować w ogrodzeniu, gdzie podano im zupę z jagieł, których jest tam bardzo wiele, i kurę, tegoż gatunku co portugalskie. Przez całą noc schodzili się mężczyźni i kobiety, aby się przyjrzeć przybyszom. Rano odwiedził ich wódz, prosząc, by powrócili na okręty. Dał im do towarzystwa dwóch ludzi, którzy nieśli w podarku dla

komendanta kury. Kazał mu też powiedzieć, że podarki nasze pokaże potężniejszemu jeszcze wodzowi; zdawało nam się, że rozumiał pod tem króla tej krainy. Gdy ludzie nasi przybyli do miejsca wylądowania łodzi, towarzyszyło im może 200 czarnych, którzy chcieli nas zobaczyć.

Kraj zdawał się gęsto zaludniony. Było tu wielu wodzów. Kobiet było, zdaje się, więcej niż mężczyzn; wśród tych bowiem, co przychodzili do nas, zjawiało się 40 kobiet na 20 mężczyzn. Chaty budowane są ze słomy. Broń tubylców stanowią długie drągi, wielkie łuki i oszczepy z żelaznemi ostrzami. Miedzi jest tu widocznie dużo, gdyż noszą ją oni na ramionach, nogach i w kędzierzawych włosach. Cyna też musi być. Widać ją było na rękojeściach ich sztyletów, podczas gdy pochwy były z kości słoniowej. Płótno stoi u nich wysoko w cenie, i za jedną koszulę można było otrzymać moc miedzi. Znoszą oni na ląd wodę morską w wielkich dyniach. Tam wlewają ją do dołów, aby otrzymać sól.

Pięć dni pozostaliśmy na tem miejscu. Przyjęliśmy wodę, którą goście nasi znosili do łodzi. Ale nie pozostaliśmy dość długo, aby zaopatrzyć się w taki zapas wody, jaki nam

był istotnie potrzebny, gdyż wiatr sprzyjał dalszej podróży.

Krainie tej nadaliśmy miano Terra da Boa Gente (kraina Dobrych Ludzi), rzekę zaś nazwaliśmy Rio do Cobre (rzeka Miedziana).

W poniedziałek odkryliśmy równinne wybrzeże, porosłe gęsto wielkiemi drzewami. Pojechaliśmy dalej i przybyliśmy do szerokiego ujścia rzeki. Ponieważ należało stwierdzić, gdzie się znajdujemy, zarzuciliśmy kotwicę. W czwartek wjechaliśmy tedy w ujście rzeki. Berrio wjechał tam już poprzedniej nocy. Było to tydzień przed ostatnim stycznia. Kraj ten jest nizinny i błotnisty; rosną tam wielkie drzewa, które dają liczne i rozmaite owoce. Krajowcy jadają te owoce.

Mieszkańcy są czarni i rośli. Chodzą oni nago; tylko wokół bioder noszą kawałek materji bawełnianej, większy u kobiet niż u mężczyzn. Młode kobiety wyglądają bardzo ładnie. Wargi ich są w trzech miejscach przedziurawione; w otworach tych noszą małe, zagięte kawałki cyny. Przyjęto nas tu z wielką radością. W swych almadias[32] przywieźli krajowcy wszystko, co posiadali, my zaś udaliśmy się do wsi po wodę.

Gdyśmy tu już bawili dwa czy trzy dni, przybyło dwóch władców tego kraju, aby nas odwiedzić. Byli oni bardzo dumni i nie zachwycali się specjalnie ofiarowanemi im podarkami. Jeden z nich nosił przybraną jedwabiem touca[33], drugi kaptur z zielonego atłasu. Młodzieniec, który im towarzyszył, przybył — jak wywnioskowaliśmy z ich znaków — z dalekich krajów i widział już wielkie statki jak nasze. Ucieszyło nas to bardzo, świadczyło bowiem, że zbliżamy się do celu naszych pragnień. Panowie ci zbudowali sobie kilka szałasów na brzegu rzeki wpobliżu okrętów, gdzie pozostali tydzień. Codzień posyłali na okręty, aby handlować chustkami, które nosiły czerwone znaki. Gdy pobyt tutaj przestał im już dogadzać, odjechali znowu na swych łodziach w górę rzeki.

Na rzece tej pozostaliśmy 32 dni, zaczerpnęliśmy wody, wyczyściliśmy statki i naprawiliśmy maszt Raphaela. Wielu z załogi naszej zachorowało tutaj, ręce i nogi obrzękły im, a dziąsła zarosły na zęby, tak że zupełnie nie mogli jeść[34].

I tu wbiliśmy słup herbowy, który nazwaliśmy St. Raphael, gdyż Raphael go przyniósł. Rzekę nazwaliśmy Rio dos Bons Signâes[35].

W sobotę opuściliśmy tę okolicę i wypłynęliśmy na pełne morze. Żeglowaliśmy w kierunku północno-wschodnim, aby oddalić się od wybrzeża. W niedzielę zachowaliśmy ten kierunek i pod wieczór odkryliśmy trzy małe wysepki; dwie z nich były pokryte wielkiemi drzewami, trzecia, najmniejsza była pusta. Wysepki te oddalone były wzajemnie o 4 legua[36].

Następnego dnia ruszyliśmy dalej, podobnie przez dalsze sześć dni płynęliśmy stale, zatrzymując się tylko na noc.

W czwartek 1 marca ujrzeliśmy wyspy i ląd. Że jednak było już późno, wyruszyliśmy znowu na morze i zatrzymaliśmy się do rana. Potem zbliżyliśmy się do lądu.

3. Mozambik.

Gdy następnego rana, było to w piątek, Nicolao Coelho wpłynąć chciał do zatoki, nie trafił na przejście i wpadł na ławicę. Wrócił więc do pozostałych okrętów, które płynęły za nim. Ujrzał przytem kilka łodzi żaglowych, które wyruszyły ze wsi jednej z wysp, aby powitać komendanta i jego brata. Popłynęliśmy dalej na upatrzone miejsce lądowania, podczas gdy łodzie płynęły za nami i dawały nam

znaki, abyśmy się zatrzymali. Gdyśmy potem zarzucili kotwicę przed wyspą, z której przybyły barki, wypłynęło nam naprzeciw siedem czy osiem łodzi. Załoga ich grała na anafies[37], trąbkach maurytańskich. Tubylcy zaprosili nas, abyśmy wjechali dalej do zatoki, i zaofiarowali się, że na życzenie nasze zaprowadzą nas do portu. Niektórzy weszli na nasze okręty, jedli i pili z nami. Gdy już mieli dość, odpłynęli zpowrotem.

Kapitan uważał za wskazane, abyśmy wpłynęli do zatoki, by poznać bliżej ludzi, z którymi mieliśmy do czynienia. Nicolao Coelho miał ze swym okrętem pojechać *naprzód*, aby zbadać przejście. Gdyby się ono okazało dobre, inne statki miały pojechać za nim. Gdy Coelho chciał wjechać do zatoki, natknął się na rafę przed wyspą i złamał wiosło sterowe. Lecz uwolnił się zaraz i powrócił znowu na głębszą wodę. Podczas tego wypadku znajdowałem się na jego okręcie. Wypłynąwszy zpowrotem na głęboką wodę, zwinęliśmy żagle i zarzuciliśmy kotwicę o dwa strzały armatnie od wsi.

Mieszkańcy tego kraju (Mozambiku) mają bronzowę barwę skóry i są barczyście zbudowani. Są oni mahometanami i mówią zupełnie

jak Maurowie[38]. Ubrania ich sporządzone są z płótna i bawełny, są one wielobarwne w pstre pasy, uszyte starannie. Wszyscy noszą turbany, zakończone jedwabnym skrajem, tkanym złotem. Są oni kupcami i prowadzą handel z białymi Maurami. W danej chwili znajdowały się w porcie cztery statki Maurów, obładowane złotem, srebrem, gożdzikami korzeniami, pieprzem i imbierem, srebrnemi pierścieniami i mnóstwem pereł, rubinów i kamieni drogocennych. Wszystkie te rzeczy nabywają mieszkańcy tych wysp. Słyszeliśmy od nich, że Maurowie, z wyjątkiem złota przywożą tu wszystkie te rzeczy. Dalej stąd, tam, dokąd my dążymy, jest tych rzeczy poddostatkiem. Perły, kamienie szlachetne i korzenie mają się tam znajdować w takiej obfitości, że nie trzeba ich kupować, a można zbierać koszami. Wszystkiego tego dowiedzieliśmy się przez pewnego marynarza, którego komendant wiózł ze sobą, a który rozumiał mowę Maurów, gdyż był niegdyś ich jeńcem.

Maurowie opowiadali nam też, że podczas swej podróży natrafimy na wiele głębin. Wzdłuż wybrzeża zaś leży wiele miast. Natrafimy też na pewną wyspę, której ludność składa się w połowie z Maurów, w połowie

z chrześcijan. Żyją oni w ciągłej wojnie. O wyspie tej powiedziano nam, że jest ona bardzo bogata.

Dalej poinformowano nas, że kapłan Jan mieszka niedaleko stąd. Założył on na wybrzeżu wiele miast, których mieszkańcy są dzielnymi kupcami i posiadają wielkie okręty. Stolica kapłana Jana leżeć ma daleko w głębi kraju; dotrzeć do niej możnaby tylko na wielbłądach. Maurowie przywieźli też z Indyj dwóch schwytanych chrześcijan[39]. Opowiadanie to, jak i wiele innych rzeczy, które usłyszeliśmy, uszczęśliwiły nas tak, że wydawaliśmy okrzyki radości i prosiliśmy Boga, aby dał nam zdrowie i pozwolił osiągnąć tak upragniony cel.

W mieście i na wyspie Mozambik rządził zwierzchnik z tytułem sułtana, który panował jak wicekról. Często zjawiał się on z kilku towarzyszami na naszych statkach. Komendant kazał mu podawać najwyszukańsze potrawy i obdarzał go w podarunku kapeluszami, marlotas (płaszczami), koralami itd. Był on jednak tak dumny, że wszystko, cośmy mu dawali, oglądał pogardliwie i prosił o szatę ze szkarłatu, której nie posiadaliśmy. Mimo to dawaliśmy mu wszystko, cośmy mieli.

Pewnego dnia komendant wyprawił na jego cześć ucztę, na której było mnóstwo fig i cukrów. Przy tej sposobności poprosiliśmy go o dwóch pilotów. Sułtan spełnił nasze życzenie pod warunkiem, że pogodzimy się z pilotami co do zapłaty. Komendant obiecał każdemu z nich po 30 miskałów w złocie i dwa płaszcze (marlotas), z zastrzeżeniem, że od chwili, gdy otrzymają pieniądze, jeden z nich musi stale znajdować się na pokładzie, gdy drugi uda się na ląd. Piloci zgodzili się na te warunki[40].

W sobotę 10 marca rozwinęliśmy żagle i wypłynęliśmy jedną legua na morze, gdzie zarzuciliśmy kotwicę tuż przy wyspie. Tam odprawiono w niedzielę mszę św., a kto chciał mógł się spowiadać i przyjmować Komunję.

Jeden z naszych pilotów pozostał na wyspie, a gdy podnieśliśmy kotwicę, uzbroiliśmy dwie łodzie, aby go poszukać. Komendant wsiadł do jednej z nich, Nicolao Coelho do drugiej. Pięć czy sześć łodzi, płynących od wyspy, skierowało się ku nim. Były one pełne ludzi z łukami, długiemi dzidami i tarczami, dawali oni naszym łodziom znaki, aby się lepiej nie zbliżały. Gdy to kapitan

ujrzał, polecił przytrzymać pilota, którego zabrał, i rozkazał strzelać do łodzi z bombard[41]. Paulo da Gama, który pozostał z okrętami, aby w razie potrzeby móc szybko pośpieszyć z pomocą, gdy tylko usłyszał bombardy, rozwinął żagle na Berrio. Maurowie, którzy uciekali już, pośpieszyli się więc jeszcze bardziej i dopłynęli do lądu, zanim Berrio mógł ich dogonić. I my powróciliśmy do miejsca postoju statków.

Okręty tego kraju są pokaźnej wielkości i posiadają jeden pokład. Nie widać na nich zupełnie gwoździ. Belki są wiązane sznurami. Żagle ich sporządzane są z rogoży palmowych. Żeglarze posiadają genueńskie igły magnesowe, według których sterują, a także kwadranty i mapy morskie.

Palmy dają wielkie owoce, podobne do melonów, których ziarno jest jadalne. Smakuje ono jak orzech (orzech kokosowy). Podobnież melony i ogórki, które przyniesiono nam do wymiany, rosną tu obficie.

Owego dnia, gdy Nicolao Coelho zajechał do portu, władca tego kraju przybył z wielką świtą na pokład. Został dobrze przyjęty. Coelho wręczył mu czerwony kołpak. Król dał mu w podarunku wieniec czarnych róż,

którego używał jako amuletu podczas modlitwy. Potem poprosił Mikołaja Coelho o łódź, aby mógł powrócić na ląd. Życzenie jego spełniono natychmiast. Przybywszy na brzeg, zaprosił on wszystkich, którzy mu towarzyszyli, do swego domu, gdzie dał im jeść. Potem puścił ich i dał im jeszcze naczynie z tłuczonemi daktylami, zaprawionemi goździkami i kminkiem, w prezencie dla Mikołaja Coelho. Podobnież dla komendanta posłał rozmaite rzeczy. Wszystko to działo się dlatego, że przyjmowano nas za Turków lub Maurów z jakiegoś dalekiego kraju. Na wypadek bowiem, gdybyśmy pochodzili z Turcji, proszonoby nas o pokazanie łuków i ksiąg świętych naszej ojczyzny. Gdy się jednak dowiedzieli, że jesteśmy chrześcijanami, postanowili napaść nas podstępem i wybić. Pilot, którego zabraliśmy, opowiadał nam potem, co chcieli z nami uczynić, gdybyśmy im wpadli w ręce.

W niedzielę odprawiono mszę św. pod wielkiem drzewem na wyspie. Potem powróciliśmy na okręty i natychmiast podnieśliśmy żagle. Zabraliśmy ze sobą mnóstwo kur, gołębi i kóz, które otrzymaliśmy wzamian za szklane paciorki.

We wtorek ujrzeliśmy po drugiej stronie jakiegoś przylądka wysokie góry. Wybrzeże przylądka porosłe było skąpo drzewami, podobnemi do wiązów. Byliśmy teraz oddaleni o zgórą 20 legua od miejsca poprzedniego postoju i musieliśmy wskutek ciszy zatrzymać się przez wtorek i środę. Następnej nocy mogliśmy się pod lekkim wiatrem oddalić od wybrzeża, a rano znaleźliśmy się znowu o 4 legua od Mozambiku. Jednakże tego dnia popłynęliśmy znowu dalej i wieczorem zarzuciliśmy kotwicę tuż przy wyspie, na której w ubiegłą niedzielę odprawiona była msza. Tutaj musieliśmy czekać tydzień na pomyślny wiatr.

Podczas naszego postoju król Mozambiku przysłał do nas posłów, aby nam zaproponować pokój i prosić o naszą przyjaźń. Posłem jego był biały Maur, szeryf[42], który piastował urząd duchownego. Był to wielki pijak.

Na pokład jednego ze statków przybył też pewien Maur z małym synkiem i prosił, abyśmy go zabrali, pochodzi on bowiem z okolicy Mekki i jako pilot przybył z pewnym okrętem do Mozambiku.

Ponieważ wiatr ciągle jeszcze nie sprzyjał nam, musieliśmy ponownie zawinąć do portu

Mozambickiego, zwłaszcza że potrzebowaliśmy koniecznie wody, a wodopoje znajdowały się jedynie na lądzie stałym. Mieszkańcy wyspy też tę tylko wodę pijali, gdyż ich woda była słona.

W czwartek wpłynęliśmy do portu, a gdy zmierzch zapadł, spuściliśmy łodzie na wodę. O północy komendant i Nicolao Coelho udali się w towarzystwie kilku z nas na poszukiwanie wody. Zabraliśmy też pilota maurytańskiego, który jednak miał widocznie większą chętkę zwiać, niż zaprowadzić nas do wodopoju. I istotnie nie mógł on czy nie chciał znaleźć wody, choć szukaliśmy do rana. Potem musieliśmy powrócić na okręty.

Wieczorem udaliśmy się znowu w towarzystwie pilota na ląd. Gdyśmy się zbliżyli do wodopoju, ujrzeliśmy około 20 ludzi na brzegu. Byli oni uzbrojeni w oszczepy i chcieli nam zamknąć dostęp. Ale komendnnt kazał dać do nich trzy strzały z bombard, abyśmy mogli wylądować. Gdy tylko wysiedliśmy z łodzi, ludzie ci uciekli w zarośla, a my mogliśmy nabrać wody, ile nam było potrzeba. Gdy słońce miało zajść, ujrzeliśmy, że jeden z Negrów, który należał do João de Coimbra, uciekł.

W niedzielę wieczorem — było to w przeddzień Objawienia N. M. P. — ku statkom naszym zbliżył się jakiś Maur i zawołał drwiąco, że jeśli chcemy nabrać wody, możemy popróbować, a odechce nam się prędko. Gdy tylko komendant usłyszał to, postanowił pójść i pokazać im, że gdy zechcemy, możemy im zaszkodzić. Uzbroiliśmy więc łodzie, załadowaliśmy bombardy na tylny pokład i popłynęliśmy ku wsi. Maurowie pobudowali z desek palisady, za któremi mogli się ukryć. Gdyśmy odbili od statków, poczęli oni przechadzać się po wybrzeżu, uzbrojeni w oszczepy, miecze, łuki i proce, z których rzucali do nas kamienie. Ale bombardy nasze wnet skłoniły ich do ucieczki za palisady. Lecz niewiele im to pomogło. Utarczka trwała trzy godziny. Przez ten czas stracili oni jednego człowieka na brzegu i jednego za palisadami. Gdyśmy się już zmęczyli tą robotą, wróciliśmy na obiad na okręty. Maurowie rozpoczęli natychmiast przygotowania do ucieczki i przenieśli swe mienie na łodziach do jednej z wiosek na lądzie.

Po obiedzie wypłynęliśmy znowu łodziami, w nadziei schwytania kilku jeńców, których moglibyśmy potem wymienić na dwóch chrześcijan indyjskich i zbiegłego Negra. Z tym

zamiarem urządziliśmy polowanie na łódź, należącą do szeryfa i zawierającą jego dobytek, oraz na drugą, w której siedziało czterech Negrów. Tę ostatnią schwytał Paulo da Gama, podczas gdy załoga pierwszej łodzi uciekła, przybiwszy do brzegu. Wzięliśmy też jeszcze jedną łódź, również opuszczoną. Negrów zabraliśmy na pokład. W łodziach znaleźliśmy piękne materje bawełniane, kosze z liści palmowych, polewane naczynia z masłem, flaszeczki z wonnemi wodami, księgi święte mahometan, skrzynkę z kłębkami bawełny, bawełnianą sieć i wiele małych koszyczków z prosem. Wszystkie te rzeczy, z wyjątkiem ksiąg, które miały być zawiezione dla króla do Portugalji, podzielił komendant pomiędzy marynarzy.

W niedzielę nabraliśmy znowu wody a w poniedziałek podjechaliśmy w uzbrojonych łodziach aż pod wieś. Mieszkańcy nie ważyli się wychodzić na brzeg, lecz wołali do nas z domów. Posłaliśmy im kilka pocisków z bombard i powróciliśmy na statki.

We wtorek opuściliśmy miasto i zatrzymaliśmy się koło wyspy św. Jerzego, gdzie pozostaliśmy jeszcze trzy dni, ufając, iż Bóg ześle nam wreszcie wiatr pomyślny.

4. Z Mozambiku do Mombassy.

W czwartek 29 marca opuściliśmy wyspę św. Jerzego. Wiatr był słaby i do soboty wieczór przebyliśmy tylko 28 legua.

Rankiem tego dnia ujrzeliśmy raz jeszcze kraj Maurów, od którego odepchnęły nas silne prądy.

W niedzielę 1 kwietnia przybyliśmy do do kilku wysp[43], położonych tuż przy lądzie stałym. Pierwszą z nich nazwaliśmy Ilha do Açoutado (wyspa Chłostanego), gdyż pilot maurytański, który skłamał komendantowi, że wyspy te są lądem stałym, otrzymał zato chłostę. Wyspy te były tak liczne, że nie mogliśmy odróżnić jednej od drugiej.

W poniedziałek ujrzeliśmy o 5 legua od brzegu dalsze pięć wysp[44]. We wtorek popłynęliśmy w kierunku NW, a przed południem ujrzeliśmy rozległy ląd, przed nim zaś dwie wyspy, otoczone mieliznami. Gdyśmy byli dość blisko, aby piloci mogli rozpoznać wyspy, oznajmili oni, że wyspa zamieszkana przez chrześcijan znajduje się o 3 legua za nami[45]. Manewrowaliśmy przez cały dzień w nadziei, że znajdziemy tę wyspę, ale naprożno, gdyż wiatr był za silny. Uznaliśmy

więc, że najlepiej będzie pojechać do miasta Mombassy, które powinno leżeć o cztery dni drogi przed nami.

Wzmiankowana wyżej wyspa była jedną z tych, które chcieliśmy zwiedzić, gdyż piloci zapewniali, że mieszkają tam chrześcijanie. Gdyśmy ruszyli dalej na północ, było już późno, a wiatr dął silnie. Pod wieczór dotarliśmy do wielkiej wyspy[46], leżącej na północ od nas. Pilot nasz zapewniał, że są tam dwa miasta, zamieszkane jedno przez chrześcijan, drugie przez Maurów.

Przez noc pozostaliśmy na morzu, rano nie ujrzeliśmy już jednakże lądu. Popłynęliśmy więc w kierunku NW, a pod wieczór ląd znajdował się znowu przed nami. W nocy wiatr zapędził nas dalej na NW, a z pierwszym brzaskiem popłynęliśmy ku NNW. Płynęliśmy tak z pomyślnym wiatrem, gdy na dwie godziny przed wschodem słońca S. Raphael wpadł na mieliznę. Okręt osiadł natychmiast i ostrzegł zdążające za nim statki wystrzałami. Ale te usłyszały je wówczas dopiero, gdy w odległości strzału od uwięzionego okrętu zarzuciły kotwice i spuściły łodzie. Gdy nadszedł odpływ, Raphael leżał wysoko i suchy. Z pomocą łodzi wciągnięto kotwice, a gdy

podczas dnia morze wzniosło się, okręt ku naszej radości uwolnił się znowu.

Na lądzie naprzeciw tych mielizn wznosił się potężny łańcuch gór, który stanowił wspaniały widok! Nazwaliśmy go Serras de São Raphael, a mielizny podobnież ochrzciliśmy mianem Raphaela.

Podczas gdy statek pozostawał na mieliźnie, zbliżyły się do nas dwie łodzie. Jedna z nich naładowana była wspaniałemi pomarańczami, lepszemi niż portugalskie. Dwóch Maurów pozostało u nas na pokładzie i towarzyszyli nam nazajutrz do Mombassy.

W sobotę, 7 tegoż miesiąca, w przeddzień Niedzieli Palmowej, popłynęliśmy wzdłuż wybrzeża i ujrzeliśmy w odległości około 15 *legua od lądu kilka wysp,*[47] *rozciągających* się na przestrzeni jakich 6 legua. Mieszkańcy lądu sprowadzają stamtąd drzewo na maszty. Wyspy te zamieszkane są przez Maurów.

W niedzielę zarzuciliśmy kotwice przed Mombassą, ale nie wpłynęliśmy do portu. Zaledwie zatrzymaliśmy się, gdy jakaś zavra[48], gęsto obsadzona Maurami, zbliżyła się ku nam. Przed miastem leżało wiele okrętów, udekorowanych chorągwiami. W obawie, że

moglibyśmy się spotkać z trudnościami, wywiesiliśmy także chorągwie, i to więcej niż oni; chcieliśmy bowiem otrzymać od nich trochę załogi, gdyż z tych, którzy nam pozostali, wielu było chorych. Chętnie zarzuciliśmy tu kotwicę, gdyż spodziewaliśmy się, że będziemy mogli nazajutrz udać się na ląd i wysłuchać mszy św. z chrześcijanami, którzy, jak słyszeliśmy, mieszkali w oddzielnej części miasta, bez styczności z Maurami.

Towarzyszący nam piloci zapewniali nas, że w mieście tem mieszkają Maurowie i chrześcijanie. Ci ostatni posiadają własnego władcę, a za przybyciem naszem przyjmą nas życzliwie i zaprowadzą do swych domów. Opowiadali to jednak dlatego tylko, że odpowiadało to ich zamiarom; nie było to jednak prawdą. O północy przybyła barka ze stu ludźmi, uzbrojonymi w krótkie szable i tarcze. Przybywszy na statek komendanta, usiłowali oni dostać się z bronią na pokład. Ale nie pozwolono im na to. Tylko czterech czy pięciu możniejszych mężów wpuszczono na pokład. Pozostali oni przez kilka godzin, a my mieliśmy wrażenie, iż zamiarem ich było wyśledzić, jakby nam można zabrać okręty.

W Niedzielę Palmową król Mombassy przysłał komendantowi skopa, mnóstwo pomarańczy, cytryn, trzciny cukrowej i jako zakład naszego bezpieczeństwa własny pierścień. Kazał mu też powiedzieć, że jeśli pragnie zajechać do portu, wszystko, czego mu trzeba, jest do jego dyspozycji. Podarunki zostały przyniesione przez dwóch prawie białych ludzi, którzy powiedzieli, że są chrześcijanami, co zdaje się było istotnie prawdą. Komendant posłał królowi w podarunku sznur korali i kazał mu *donieść, że zamierza następnego* dnia zawinąć do portu. Tegoż dnia statek komendanta odwiedziło czterech dostojnych Maurów.

Komendant wysłał dwóch ludzi do króla, *aby się przekonać o szczerości* jego pokojowych zamiarów, Gdy wylądowali oni, zostali odprowadzeni przez tłum ludzi aż do wrót pałacu. Zanim przybyli przed króla musieli przejść przez szereg wrót, z których każde strzeżone były przez wartownika z dobytym mieczem. Król przyjął ich gościnnie i kazał im pokazać miasto. Podczas drogi zatrzymali się oni przed domem dwóch chrześcijan, którzy pokazali im obraz, jaki czcili. Był na nim przedstawiony Duch św. Gdy obejrzeli wszystko, król odesłał ich zpowrotem i dał im próbki

gożdzików korzennych, pieprzu i zboża. Kazał im przytem powiedzieć, że pozwala nam obładować temi produktami okręty.

We wtorek, gdy podnieśliśmy kotwicę, aby wjechać do portu, okręt komendanta nie mógł ruszyć z miejsca i zderzył się z następnym statkiem. Wobec tego raz jeszcze spuściliśmy kotwice. Gdy Maurowie, którzy byli na pokładzie, ujrzeli, że nie płyniemy naprzód, zeskoczyli do łodzi, uwiązanej przy okręcie. Dwaj piloci, których przywieźliśmy z Mozambiku, skoczyli do wody i zostali wyłowieni przez Maurów. W nocy komendant kazał dwóch pozostałych Maurów wziąć na spytki, lejąc im wrzącą oliwę na skórę, aby się dowiedzieć, czy nie knuto przeciw nam zdrady. Wyjawili oni, że wydany był rozkaz, aby nas schwytano natychmiast, gdy tylko wjedziemy do portu, aby pomścić się za nasze postępowanie w Mozambiku. Gdy spytki miały być drugi raz powtórzone, jeden z Maurów rzucił się ze związanemi rękoma w morze; drugi skoczył do wody podczas warty porannej.

W nocy podpłynęły dwie łodzie z wieloma ludźmi. Zatrzymały się one w pewnej odległości, podczas gdy ludzie skoczyli do wody.

Jedni z nich popłynęli ku Berrio, inni ku Raphaelowi i poczęli przecinać liny. Majtkowie na warcie myśleli początkowo, że to ryby tuńczyki. Gdy jednak poznali swą omyłkę, zaalarmowali pozostałe statki. Tymczasem pływacy uczepili się już lin. Gdy ujrzeli, że są odkryci, cicho pogrążyli się w morze i uciekli. Takie i tym podobne psoty chciały nam wyrządzać te psy. Ale Bóg odmówił im pomocy, gdyż kacerze ci nie wierzyli weń.

Mombassa jest wielkiem miastem, położonem na szczycie pagórka i otoczonem przez morze. Codziennie zawija do portu wiele okrętów. Przy wjeździe stoi filar, a od strony morza broni portu nisko położona warownia. Ludzie nasi, którzy byli w mieście, widzieli wielu jeńców w łańcuchach. Byli to zapewne chrześcijanie, zwłaszcza że Maurowie i chrześcijanie toczą w tym kraju ustawiczną wojnę.

Chrześcijańscy kupcy tego miasta traktowani są jak obcy. Żyją oni w wielkiej zależności i nie mogą robić nic, co nie jest im dozwolone przez króla maurytańskiego,

Bogu spodobało się w Jego dobroci podczas postoju naszego przywrócić zdrowie wszystkim chorym na pokładzie; gdyż klimat jest w tej okolicy bardzo dobry.

Po odkryciu niecnej zdrady tych łotrów, pozostaliśmy jeszcze przez środę i czwartek na kotwicy.

5. Z Mombassy do Melindy.

Nad ranem ruszyliśmy dalej. Że jednak wiatr wiał słabo, zarzuciliśmy ponownie kotwicę tuż przy brzegu, o jakieś 8 legua od Mombassy. Z nastaniem następnego dnia ujrzeliśmy w odległości 3 legua na pełnem morzu dwie barki, na które natychmiast urządziliśmy obławę. Chcieliśmy złapać którą z nich, aby sobie zdobyć pilota, któryby nas poprowadził dalej. Pod wieczór dogoniliśmy jedną z łodzi i schwytaliśmy ją; druga natomiast uszła na ląd. W łodzi znaleźliśmy 17 ludzi, a nadto złoto, srebro, sporo jagieł i innych zapasów. Pośród jeńców naszych znajdowała się też młoda kobieta, żona starego, zamożnego Maura, który również jechał w barce. Gdyśmy dogonili łódź, wszyscy skoczyli do wody ale natychmiast zostali wyłowieni.

Wieczorem tego dnia zarzuciliśmy kotwice w miejscowości, zwanej Melinda, o 30 legua

od Mombassy. Pomiędzy Melindą a Mombassą leżą jeszcze Benapo[49], Toça[50] i Nuguoquionie-te[51].

W Wielką Niedzielę Maurowie, którzy pozostali na pokładzie jako jeńcy, opowiadali nam, że przed Melindą leżą cztery okręty chrześcijańskie z Indyj. Jeśli zawieziemy ich tam, zostaną oni wymienieni na chrześcijan pilotów, a my otrzymamy wszystko, czego nam trzeba, wodę, drzewo i żywność. Komendant pragnął bardzo pilotów z tego miasta i omówiwszy sprawę z jednym z jeńców maurytańskich, zarzucił kotwicę przed miastem, o pół legua przed brzegiem. Tubylcy nie próbowali się dostać na nasze okręty, gdyż zauważyli już, że zdobyliśmy łódź i pojmaliśmy jej załogę.

W poniedziałek rano komendant kazał przewieźć starego Maura na ławicę naprzeciw miasta, skąd zabrała go łódź. Maur zakomunikował królowi życzenia komendanta i propozycję zawarcia pokoju. Po obiedzie Maur powrócił w zavrze w towarzystwie dworzanina królewskiego i szeryfa. Przywiózł też ze sobą trzy owce. Posłowie oznajmili komendantowi, że król byłby bardzo rad zawrzeć z nim pokój i nawiązać przyjazne stosunki. Chętnie oddałby

mu do dyspozycji wszystko, czego dostarczyć może jego kraj, a także dałby mu pilotów. Komendant kazał na to odpowiedzieć, że zamierza nazajutrz zawinąć do portu. Zarazem posłał królowi przez swego posła balandrau[52], dwa sznury korali, trzy miednice do mycia rąk, kapelusz, małe dzwoneczki i dwie sztuki tkaniny bawełnianej.

We wtorek zbliżyliśmy się więc do miasta. Król przysłał komendantowi sześć skopów, nadto mnóstwo goździków korzennych, kminu, imbieru, orzechów muszkatowych i pieprzu, i kazał mu zakomunikować, że jeśli będzie to na rękę komendantowi, rad spotka się z nim na morzu.

We wtorek po obiedzie król zbliżył się w barce tuż do statku. Komendant zszedł do pięknie ustrojonej łodzi, a podczas spotkania obu łodzi wymieniono wiele uprzejmych słów. Król zaprosił komendanta w odwiedziny do pałacu i obiecał odwiedzić go potem nawzajem na okręcie. Komendant odrzucił zaprosiny pod pozorem, iż władca jego zabronił mu chodzić na ląd; gdyby więc to uczynił, splamiłby swe imię. Natomiast król chciał wiedzieć, coby powiedział o nim lud jego, gdyby tak ni stąd ni zowąd udał się na

okręty, i jakby zdał z tego potem sprawę! Potem zapytał o imię naszego króla, które mu napisano, i oznajmił nam, że gdy będziemy powracać, da nam posła lub list do naszego króla.

Po wzajemnej wymianie zdań komendant kazał przywieźć pojmanych Maurów i oddał mu ich. Wywołało to u króla niezwykłe zadowolenie; zawołał on, że czyn ten ceni bardziej, niż gdyby dano mu miasto w podarunku. Zadowolony opłynął król okręty, które zagrzmiały na powitanie bombardami. W ten sposób minęły prawie trzy godziny. Udając się na ląd, pozostawił król na okręcie jednego ze swych synów i pewnego szeryfa. Natomiast zabrał ze sobą dwóch naszych ludzi, którym chciał pokazać pałac. Komendantowi zaś powiedział, że jeśli nie może się zdecydować na wylądowanie, to on sam przybędzie jutro na brzeg i każe jeźdźcom swym wykonać pewne ćwiczenia.

Król odziany był w płaszcz adamaszkowy, podbity zielonym atłasem. Głowę jego okrywał bogaty turban. Siedział na pokrytym poduszkami bronzowym tronie, pod baldachimem z czerwonego atłasu, który był umocowany na jednym pręcie. Stary człowiek, który pełnił służbę pazia, niósł za nim krótki miecz

w srebrnej pochwie. Towarzyszyło mu wielu grajków z anafilami[53]. Widać tu było dwa wielkie rogi z kości słoniowej, zdobione bogato. Dmucha się w nie zboku, wraz z anafilami stanowią one piękną muzykę.

W czwartek komendant i Nicolao Coelho zrobili przejażdżkę wzdłuż miasta. Na łodziach ich ustawiono bombardy. Na brzegu stało mnóstwo ludzi, wśród nich dwaj jeźdźcy, którzy zdali się bardzo zapalać udaną walką. Króla przyniesiono w lektyce ze stopni pałacu do łodzi komendanta. Poprosił on komendanta jeszcze raz, aby jednakże wysiadł na ląd, gdyż ma on bezwładnego ojca, który bardzoby rad go zobaczyć. On zaś i jego synowie przyjdą wzamian w gościnę na statek. Ale komendant raz jeszcze przeprosił go i odmówił.

Spotkaliśmy tu wiele statków, należących do chrześcijan z Indyj. Gdy po raz pierwszy przybyli oni na statek Paulo da Gamy, gdzie właśnie znajdował się i komendant, pokazano im obraz Najświętszej Panny, jak siedząc u stóp krzyża w otoczeniu apostołów, trzyma Chrystusa na łonie. Gdy Indusi ujrzeli ten obraz, rzucili się przed nim na ziemię, a póki się tam znajdowaliśmy, przychodzili modlić

się doń. Przynosili mu dary, goździki, pieprz i inne.

Indusi ci mają ciemno-żółtą barwę skóry. Są oni skąpo odziani. Brody ich są długie, a włosy plecione. Opowiadali nam oni, że nie jadają wołowiny. Mowa ich odmienna jest od mowy Arabów, ale niektórzy rozumieją trochę po arabsku.

Gdy komendat popłynął w swej łodzi do miasta, Indusi ci oddali na swych statkach mnóstwo wiwatów, a gdy przejeżdżał koło nich, wołali radośnie: „Chrystus! Chrystus[54]!"

Tegoż dnia prosili króla o pozwolenie wyprawienia na naszą cześć uczty w nocy. Gdy tylko nastał mrok, bombardy ich poczęły ponownie wiwatować, rakiety wzniosły się w niebo, a marynarze wydawali okrzyki radości.

Indusi ci ostrzegali także komendanta przed udaniem się na ląd. Nie kazali mu wierzyć w oznaki przyjaźni, twierdząc, iż nie pochodzą one ani z serca, ani z dobrej woli.

Następnej niedzieli, 22 kwietnia, łódź królewska przywiozła zaufanego sługę. Ponieważ dwa dni minęły już bez odwiedzin, komendant kazał zatrzymać sługę i powiedzieć królowi, aby przysłał mu obiecanych pilotów. Gdy tylko król usłyszał te słowa, przysłał chrześci-

jańskiego pilota, a komendant wypuścił wzamian zato pojmanego człowieka.

Bardzo ucieszyliśmy się z przysłanego nam pilota chrześcijanina. Dowiedzieliśmy się od niego, że owa wyspa, o której słyszeliśmy w Mozambiku, jakoby należała do chrześcijan, w istocie była pod władzą króla mozambickiego. Jest ona zamieszkana w połowie przez chrześcijan, w połowie przez Maurów. Poławia się tam wiele pereł. Nazwa jej Quyluee[55]. Była to owa wyspa, do której chcieli nas zawieść piloci maurytańscy i do której popłynęlibyśmy chętnie, gdyż wierzyliśmy ich słowom.

Miasto Melinda leży w zatoce i rozciąga się wzdłuż wybrzeża. Możnaby je porównać z Alcouchette[56]. Domy są wysokie, pięknie tynkowane na biało i posiadają wiele okien. Od strony lądu rozciąga się las palmowy, a dokoła miasta rośnie gryka i jarzyny.

Pozostaliśmy przez dziewięć dni przed miastem, a cały czas zabawiano nas uroczystościami, turniejami i koncertami trąb.

6. Przez ocean Indyjski do Calicutu.

We wtorek 24 kwietnia opuściliśmy Melindę, aby pod przewodnictwem pilota, ofiarowanego nam przez króla wyruszyć do miasta

Qualecut[57]. Wybrzeże ciągnie się tam z północy na południe i zamyka wielką zatokę[58] z cieśniną[59]. Opowiadano nam, że nad zatoką tą leży mnóstwo miast chrześcijańskich i maurytańskich, między innemi jedno, zwane Quambay[60]. Ma tam być również sześćset znanych dotychczas wysp, a nadto morze Czerwone i „dom“[61] w Mecce.

Następnej niedzieli ujrzeliśmy znowu gwiazdę Polarną, której nie widzieliśmy dawno.

W piątek 18 maja po 23 dniach podróży bez widoku ziemi ukazały się przed nami wysokie góry. Ponieważ przez cały czas płynęliśmy z wiatrem, musieliśmy przebyć co najmniej 600 legua. Ujrzeliśmy ląd po raz pierwszy w odległości 8 legua i znajdowaliśmy się na głębokości 45 fadów. Tejże nocy przyjęliśmy kierunek SSO, aby się oddalić od brzegu. Za dnia zbliżyliśmy się znowu do lądu. Ponieważ jednak jadąc wzdłuż wybrzeża, nawiedzani byliśmy przez silne burze i ulewy, pilot nasz nie mógł określić położenia. W niedzielę ujrzeliśmy znowu wysokie góry, a gdy zbliżyliśmy się o tyle, że pilot mógł rozpoznać okolicę, dowiedzieliśmy się, że znajdujemy się na wysokości Calicutu, a zatem osiągnęliśmy szczęśliwie swój najbliższy cel.

Pod wieczór zarzuciliśmy kotwicę o 2 legua od Calicutu. Gdyż pilot nasz omylił się i przyjął miasto, zwane Capua[62], za Calicut. Niedaleko stamtąd leży inne miasto, Pandarani[63]. Miejsce naszego postoju leżało niedalej jak o $1^1/_2$ legua od brzegu. Gdyśmy zarzucili kotwicę, z lądu przybyły cztery almadie, które zapytały, do jakiej narodowości należymy. Daliśmy się poznać, poczem wskazano nam położenie Calicutu.

Następnego dnia te same łodzie przybyły do naszych okrętów. Komendant posłał jednego ze skazanych na wygnanie do Calicutu. Przewodnicy jego zaprowadzili go do dwóch Maurów z Tunisu, którzy rozumieli po kastylsku i genueńsku. Pierwsze powitanie, jakie go spotkało, było: „Bierz cię licho! Skąd ty tutaj?“ Zapytali go, co robi tak daleko od ojczyzny, on zaś odparł, że szukamy chrześcijan i korzeni. „Dlaczego nie przysyła tu król Kastylji, król Francji lub signora z Wenecji?“ To tylko chcieli wiedzieć. Poseł nasz odparł, że król portugalski nie pozwala im na to, co ich zupełnie zadowoliło. Po tej rozmowie zabrali go do swych mieszkań i dali mu chleba z kukurydzy i miodu. Po jedzeniu powrócił on z jednym z Maurów na statek. Zaledwie

ten ostatni stanął na pokładzie, zawołał po portugalsku: „Co za szczęście! Co za szczęście! Moc rubinów, moc kamieni drogocennych! Dziękujcie Bogu, że zawiódł was do tak bogatego kraju!“ Zdumieliśmy się w najwyższym stopniu, usłyszawszy język portugalski, nie spodziewaliśmy się bowiem tak daleko od ojczyzny usłyszeć język macierzysty.

Miasto Calicut zamieszkane jest przez chrześcijan. Barwa ich skóry jest brunatna. Niektórzy mają gęste brody i długie włosy, inni natomiast strzygą lub golą brody, a nawet głowy i pozostawiają tylko kępkę na środku, na znak, że są chrześcijanami. Noszą oni też wąsy. Konchy uszne mają przedziurawione. Dziurki te ozdobione są mnóstwem złota. Górna połowa ich ciała aż do bioder jest naga, dolna odziana jest piękną tkaniną bawełnianą. Ale tylko zamożni ludzie ubierają się tak, inni odziani są zależnie od swych warunków.

Kobiety tego kraju są naogół brzydkie i niskie. Wokół szyi noszą wiele ozdób złotych, a na ramionach bransolety. Palce u nóg ozdobione mają pierścieniami, wysadzanemi szlachetnemi kamieniami. Ludzie są tu życzliwi i dobroduszni. Na pierwszy rzut oka wydają się chciwymi i głupimi.

Gdyśmy przybyli do Calicutu, król bawił o 15 legua od miasta. Komendant posłał doń dwóch ludzi z wieścią, że przybył wysłaniec króla Portugalji z listami, które może mu na życzenie posłać.

Król podarował posłom piękne szaty. Przesłał komendantowi swe pozdrowienia i kazał mu powiedzieć, że jest w drodze do Calicutu. Istotnie wkrótce zjechał z wielką świtą do miasta.

Pilot tubylczy odprowadził obie nasze łodzie zpowrotem do statku. Miał on nas zaprowadzić do Pandarani, małego miasteczka wpobliżu miejsca, gdzie zatrzymaliśmy się poprzednio. Leżeliśmy teraz nawprost miasta Calicut. Powiadomiono nas, że w Pandarani jest wspaniały port i że dobrze uczynimy, zawijając doń; tu bowiem, gdzie znajdujemy się obecnie, grunt jest kamienisty, więc niepodatny do kotwiczenia, co istotnie odpowiadało prawdzie. Dlatego przyjęte jest, że statki, przybywające do tego kraju, tam właśnie zarzucają kotwicę. I my sami nie czuliśmy się dobrze na swem miejscu postoju, to też gdy komendant otrzymał poselstwo króla, kazał rozwinąć żagle. Nie popłynęliśmy jednak tak daleko, jak tego pragnął pilot królewski.

Gdyśmy zarzucili kotwicę, przybył goniec z wieścią, że król jest już w mieście. Jednocześnie król wysłał do Pandarani balego[64] z innemi wysoko postawionemi osobistościami, aby towarzyszyli komendantowi. Bale ma stanowisko takie jak alkalde[65]; otacza go zawsze 200 ludzi, uzbrojonych w miecze i tarcze. Ponieważ było dość późno, gdy przybyło poselstwo, komendant nie chciał już tego dnia wyruszać.

7. Przygody w okolicach Calicutu.

Następnego rana, był to poniedziałek 28 maja, udał się komendant na audjencję do króla. Towarzyszyło mu trzydziestu ludzi, ja byłem również wśród nich. Włożyliśmy najlepsze ubrania, umieściliśmy bombardy w łodziach i zabraliśmy trąby oraz chorągwie. Przy lądowaniu przyjął komendanta alkalde i wielu uzbrojonych i nieuzbrojonych ludzi. Przyjęcie było przyjazne; widok nasz zdawał się sprawiać radość, choć wyczuwaliśmy, jak nam się zdawało, groźną postawę tych ludzi, gdyż wszyscy mieli gołe miecze. Dla komendanta przyniesiono lektykę, jakich używają dostojnicy tego kraju. Niektórzy bogaci kupcy

posiadają również lektyki, ale za ten przywilej muszą płacić królowi podatek. Komendant wsiadł do lektyki, którą nosiło na zmianę sześci ludzi. W towarzystwie olbrzymiego tłumu ruszyliśmy ku Calicutowi i przybyliśmy najpierw do miasteczka Capua. Tam zaniesiono komendanta do domu pewnego dostojnika, nam zaś podano ryż, masło i wyjątkowo smaczne ryby. Komendant nie chciał jednak jeść. Potem popłynęliśmy pobliską rzeką, która biegła tuż między lądem a morzem. Dwie łodzie, do których wsiedliśmy, zostały złączone, tak iż nie byliśmy rozdzieleni. Chmara innych łodzi, pełnych ludzi, otaczała nas. Niezliczone były tłumy ludzi, stojących na brzegu, a przybyłych, aby nas zobaczyć. Płynęliśmy w górę rzeki mniej wiecej 4 legua. Po drodze widzieliśmy sporo wielkich okrętów, wciągniętych na piasek nadbrzeżny i leżących tam sucho. Tubylcy uciekają się do tego środka, gdyż niema tu portu.

Gdyśmy znowu wysiedli na ląd, komendant wszedł do lektyki. Droga pełna była niezliczonych tłumów ludzi, pragnących nas ujrzeć. Nawet kobiety z niemowlętami na rękach wychodziły z domów i szły za nami.

Kiedy przybyliśmy, poprowadzono nas do wielkiego kościoła; ujrzeliśmy tam co następuje: Gmach kościoła jest wielkości klasztoru, jest on zbudowany z ciosanych kamieni i pokryty cegłą. U wejścia głównego wznosi się kolumna z bronzu wysokości masztu, na szczycie jej znajduje się jakiś ptak, zapewne kogut. Naprzeciw niej stoi druga gruba kolumna *wysokości człowieka*. W *środku* kościoła wznosi się kaplica, zbudowana cała z ciosanego kamienia. Prowadzą do niej kamienne schody i drzwi bronzowe szerokości akurat na jednego człowieka. W sanktuarjum znajduje się mały obraz. Powiedziano nam, że przedstawia on Matkę Boską[66]. Na ścianach przy głównem wejściu wiszą małe dzwonki. W kościele tym modliliśmy się wraz z komendantem.

Do kaplicy nie weszliśmy, gdyż jest *w zwyczaju*, że wchodzą tam tylko niektórzy słudzy kościelni, zwani quafees[67]. Quafees noszą na lewem ramieniu kilka sznurów, podobnie jak u nas diakoni stułę. Skropili nas oni wodą święconą i dali nam nieco białej ziemi, którą chrześcijanie tutejsi pocierają sobie skronie, pierś, grzbiet i ramiona. I komendanta skropili wodą święconą i dali mu trochę białej ziemi, którą on oddał jednak

innemu do przechowania z uwagą, iż użyje jej później.

Na ścianach kościoła wymalowani byli święci z koronami na głowach. Byli oni dziwnie przedstawieni, zęby wystawały z ust o cal, albo też mieli po cztery lub pięć ramion. Tuż za kościołem leżał wielki, obmurowany staw jakich wiele widzieliśmy już po drodze.

Gdyśmy opuścili to miejsce i przybyli przed miasto Calicut, pokazano nam inny kościół, gdzie znowu ujrzeliśmy opisane wyżej rzeczy. Tutaj towarzyszący nam tłum wzrósł tak bardzo, że prawie niemożliwem było przedostać się przez ulice, wprowadzono nas więc wraz z komendantem do pewnego domu.

Król wysłał brata balego, który reprezentuje w tym kraju wysoki urząd, do towarzystwa komendantowi. Przybyli z nim muzykanci z trąbami, piszczałkami i szałamajami[68] oraz inni ludzie, oddający z radości wystrzały z flint. Wszyscy oni towarzyszyli komendantowi i okazywali nam wszystkim więcej czci, niż się w Hiszpanji okazuje królowi. Tłum był już nieprzejrzany, prócz tych bowiem, co tłoczyli się wokoło nas, a wśród których było samych tylko zbrojnych dwa tysiące, ciżba stała w gęstych szeregach na dachach i w domach.

Im bliżej byliśmy pałacu królewskiego, tem straszliwszym stawał się tłok. Gdyśmy tam przybyli, wystąpili naprzód najwyżsi dostojnicy i inni możni ludzie, aby powitać komendanta, i przyłączyli się do tych, którzy już mu towarzyszyli. Było to mniej więcej na godzinę przed zachodem słońca. Wkroczyliśmy przez okratowane drzwi na ogromny dziedziniec pałacu i musieliśmy przejść jeszcze przez czworo drzwi, zanim stanęliśmy przed królem. Drogę musieliśmy torować sobie siłą i rozdawaliśmy mocne szturchańce. Gdyśmy wreszcie stanęli przed drzwiami, za któremi znajdował się król, wystąpił mały, stary człeczyna, który piastował godność biskupa i którego król radził się we wszelkich sprawach kościelnych. Człowiek ten uścisnął komendanta przy wejściu. Przy drzwiach tych w tłoku zraniono wielu ludzi, a my zdołaliśmy tylko najwyższym wysiłkiem, przepchnąć się przez tłum.

Król znajdował się na małym dziedzińcu. Spoczywał on na tapczanie, pokrytym kapą z zielonego aksamitu. Na kapie leżała poduszka, a na niej znowu kapa z materji bawełnianej, tak białej i delikatnej, jak najpiękniejsze płótno. Poduszki były z tej

samej materji. W lewej ręce trzymał król wielkie naczynie złote, o zawartości pół almude[69]. Był to rodzaj kielicha, który u góry miał rozwartości dwie palmy (30,5 cm) i z pewnością sporządzony był z czystego złota[70]. Do naczynia tego wypluwa król łupiny pewnego ziela, które żuje się tutaj. Nazywają je atambor[71]. Po prawicy króla stało złote naczynie; było ono tak wielkie, że człowiek akurat mógłby je objąć ramionami. Leżało w niem właśnie owo ziele. Mnóstwo srebrnych dzbanów stało dokoła. Baldachim nad tapczanem był cały złocony.

Przy wejściu komendant powitał króla zwyczajem kraju. Złożył ręce, jak to czynią chrześcijanie przy modlitwie, i podniósł je ku niebu, potem rozwarł je szybko i ścisnął pięści. Król skinął komendantowi prawą dłonią, aby się zbliżył. Ale że wedle zwyczaju tej ziemi, tylko słudzy, podający królowi ziele, zbliżają się doń, komendant nie poruszył się. Każdy, kto mówi z królem, trzyma dłoń na ustach i stoi w pewnej odległości. Uczyniwszy znak komendantowi, król spojrzał na nas i rozkazał, abyśmy siedli na ławie kamiennej, która stała wpobliżu niego, gdzie mógł nas widzieć.

Potem kazał nam przynieść wody do rąk i rozmaitych owoców. Jedne podobne były do melonów, tylko że strona zewnętrzna była szorstka, a miąższ słodki, inne wyglądały jak figi i były bardzo smaczne. Słudzy obrali nam owoce. Król spoglądał na nas podczas jedzenia, uśmiechał się i rozmawiał z powiernikiem, który właśnie podawał mu ziele do żucia.

Potem spojrzał na komendenta, który siedział naprzeciw niego. Skinął nań, aby porozmawiał z dworzanami. Są to zaufani ludzie; może im wszystko powierzyć; oni powtórzą to potem jemu, królowi. Komendant odparł, iż jest wysłannikiem króla Portugalji i wiezie poselstwo, które może tylko królowi osobiście zakomunikować. Król był z tego zadowolony i poprosił go zaraz, aby udał się do przyległej komnaty. Gdy tylko komendant wyszedł, król wstał i poszedł za nim, my *zaś pozostaliśmy na dziedzińcu*. Wszystko to działo się mniej więcej o zachodzie słońca. Po wyjściu króla przyszedł jakiś stary człowiek, który zabrał jego łoże; srebrne naczynia pozostały na miejscu. Gdy król znalazł się z komendantem w komnacie, legł na innym

tapczanie, pokrytym materją, obramowaną złotem, i zapytał o jego życzenia.

Komendant oznajmił mu, iż jest wysłannikiem króla Portugalji, pana wielu krain i olbrzymich bogactw, które znacznie przewyższają mienie tutejszych królów. Przez sześćdziesiąt lat słali przodkowie króla okręty na odkrycie drogi do Indyj, ponieważ wiedzieli, że mieszkają tam królowie chrześcijańskiej wiary, jak i oni. Oto powód, dla którego pragnęli oni odkryć te kraje, ale nie żądza złota czy srebra. Tego bowiem mają taki nadmiar, że nie potrzeba im skarbów, które się tu znajdują. Wysyłani kapitanowie jeździli zazwyczaj rok lub dwa, aż wyczerpały się im zapasy, i nie odkrywszy Indyj, powracali do Portugalji. Panujący obecnie król, Dom Manuel, kazał jemu narządzić trzy statki i mianował go komendantem. Ale nie dozwolił mu wracać pierw do Portugalji, aż znajdzie królów chrześcijańskich, w przeciwnym razie odda głowę. Doręczono mu też dwa listy, które wręczyć miał w razie powodzenia, co też uczyni jutro. Nakoniec miał dodać ustnie, iż król Portugalji pragnie zostać bratem i przyjacielem tutejszego króla.

Król podziękował komendantowi za te słowa. Chce go uważać za przyjaciela i brata i wysłać z nim posłów do Portugalji. O to ostatnie prosił też komendant jako o łaskę, dodając, iż nie ważyłby się stanąć przed swym panem, nie przywiózłszy kilku ludzi z tego kraju.

Te sprawy i wiele innych omówione zostały między królem a komendantem w komnacie, a że był już późny wieczór, przeto król zapytał komendanta, gdzie pragnie przenocować, u chrześcijan czy u Maurów. Ale komendant nie chciał mieszkać ani u chrześcijan, ani u Maurów, lecz poprosił o pozwolenie posiadania własnego gmachu. Król przyobiecał mu to, poczem komendant pożegnał się i powrócił do nas. Znajdowaliśmy się na werandzie, oświetlonej przez wielki świecznik. Cztery godziny nocy minęły już tymczasem.

Udaliśmy się z komendantem na poszukiwanie swego gmachu. Towarzyszył nam niezliczony tłum. Spadł silny deszcz, który wnet pokrył ulice wodą. Sześciu ludzi niosło komendanta. Marsz przez miasto trwał tak nieskończenie długo, że komendant uczuł się zmęczony i poskarżył się marszałkowi dworu królewskiego, dostojnemu Maurowi, który towarzyszył mu w drodze. Wówczas Maur

powiódł go do własnego domu, nas zaś wprowadzono na dziedziniec, gdzie znajdowała się kryta weranda. Rozłożono mnóstwo dywanów, a dwa wielkie świeczniki, jak w pałacu królewskim, oświetlały werandę. Na wierzchołku każdego świecznika znajdowała się wielka żelazna lampa, napełniona oliwą czy masłem. Każda lampa miała cztery knoty i dawała silne światło. Lamp takich używa się także zamiast pochodni.

Następnie Maur przyprowadził konia, aby towarzyszyć komendantowi do jego mieszkania. Ale zwierzę było nieosiodłane i komendant wzbraniał się go dosiąść. Ruszyliśmy więc znowu dalej, a gdyśmy wreszcie przybyli do swego gmachu, zastaliśmy tam kilku naszych kolegów z łóżkiem komendanta i podarkami, jakie przywiózł on dla króla.

We wtorek komendant przygotował rzeczy, które chciał posłać królowi: dwanaście sztuk materji bawełnianej, cztery kapuzy ze szkarłatu, sześć kapeluszy, cztery sznury korali, skrzynkę z sześcioma miednicami do mycia rąk, pakę cukru, dwa naczynia z oliwą, dwa z miodem. Ponieważ w zwyczaju jest przed wysłaniem czegokolwiek królowi powiadomić o tem jego marszałka dworu i balego, przeto komendant

oznajmił im swój zamiar. Przybyli oni i obejrzeli rzeczy. Gdy ujrzeli podarki, roześmiali się i rzekli, że nie są to podarki dla króla; najuboższy kupiec z Mekki lub Indyj daje więcej. Jeśli komendant chce złożyć dary, to muszą one być ze złota, innych rzeczy król nie przyjmie. Gdy to komendant usłyszał, zasmucił się i rzekł, że nie przywiózł ze sobą złota, a nadto, że nie jest kupcem lecz wysłannikiem. Dary te daje on ze swego mienia, a nie z królewskiego. Jeśli król Portugalji każe mu jeszcze raz odbyć tę podróż, przywiezie on znacznie bogatsze dary. Jeśli król Camolim nie chce przyjąć tych podarków, to odeśle je on na okręty. Na to oznajmili urzędnicy królewscy, że oni sami nie mogliby tych podarków wręczyć, a nawet nie mogą dopuścić, aby je królowi pokazano. Po ich odejściu zbliżyło się kilku kupców, a wszyscy wyrażali się pogardliwie o podarkach, które komendant przeznaczył dla króla.

Gdy komendant ujrzał, że urzędnicy postanowili nie przyjąć podarków, oświadczył, że jeśli mu nie pozwolą wręczyć podarków, królowi, pójdzie do króla sam i pomówi z nim, a potem powróci na swe okręty. Oni zgodzili

się na to i poprosili go, aby nieco zaczekał, aż powrócą, aby się z nim udać do pałacu. Komendant czekał cały dzień, ale oni nie wrócili. Był wściekły, że dostał się między tak flegmatycznych i niedbałych ludzi, i postanowił wreszcie pójść do pałacu bez nich. Namyślił się jednak, że może lepiej będzie zaczekać do następnego dnia. My zabawialiśmy się tymczasem śpiewem i tańcami pod dźwięk trąb i bardzo byliśmy zadowoleni.

W środę rano Maurowie powrócili i odprowadzili komendanta aż do pałacu, pełnego zbrojnych ludzi. Komendant musiał czekać ze swymi towarzyszami pełne cztery godziny przed drzwiami, które otwarto wówczas dopiero, gdy król dał rozkaz wpuszczenia komendanta. Dwóch ludzi tylko mogło mu towarzyszyć; pozwolono mu wybrać ich sobie. Komendant zatrzymał przy sobie Fernâo Martinsa, który mógł służyć za tłumacza, i swego sekretarza. Jemu i nam rozłączenie to nie wydało się pomyślnem.

Gdy komendant wszedł, król oznajmił mu, iż spodziewał się go już we wtorek. Kapitan odparł, że zmęczony długą podróżą nie mógł wczoraj przybyć. Potem król rzekł, że komendant opowiadał mu, iż przybywa

od bogatego króla, a mimo to nie przywiózł ze sobą nic; oznajmił też, iż posiada jakiś list, którego jednak dotąd nie doręczył. Na to odparł komendant, że nie przywiózł nic, gdyż celem jego podróży było tylko odkrycie Indyj, natomiast gdy przybędą inne okręty portugalskie, wówczas król ujrzy, co przywiozą one ze sobą; co do listu zaś, to jest prawda, że ma on go przy sobie i natychmiast go doręczy.

Król zapytał, co chciał komendant odkryć: kamienie czy ludzi? A jeśli szukał ludzi, jak powiada, dlaczego nic nie przywiózł? Nadto opowiadano mu, że wiezie on ze sobą złotą statuę Najświętszej Marji Panny. Komendant odparł, iż statua ta nie jest złota, a gdyby nawet taką była, nie oddałby jej za nic, gdyż powiodła go ona przez ocean i powiedzie zpowrotem do ojczyzny. Wówczas król zapytał o list. Kapitan poprosił, aby sprowadzono chrześcijanina, rozumiejącego po arabsku, gdyż Maurowie są dlań źle usposobieni i mogliby fałszywie tłumaczyć. Król zgodził się na to i posłał natychmiast po pewnego młodzieńca. Był on drobnej postaci, zwał się zaś Quaram. Komendant wyjaśnił królowi, iż posiada dwa listy, jeden pisany w jego języku ojczystym, drugi w mowie Maurów. On sam mógł prze-

czytać tylko pierwszy z tych listów i wie, że zawiera on samo dobre. Drugi natomiast jest dlań niezrozumiały, może on być dobry, a może zawierać i rzeczy niemiłe. Ponieważ jednak chrześcijanin nie umiał czytać po maurytańsku, czterech Maurów przeczytało list i przetłumaczyło królowi, który był bardzo zadowolony z treści.

Teraz król zapytał o towary, jakie znajdują się w naszej ojczyźnie. Komendant wymienił zboże, odzież, żelazo, bronz i inne. Król chciał wiedzieć, co z tych towarów przywiózł komendant ze sobą. Kapitan odparł, iż z każdej rzeczy posiada wzór. Jeśli król pozwoli mu wrócić na okręty, to każe to wyładować. Tymczasem mogłoby czterech lub pięciu ludzi pozostać w naszem mieszkaniu. Ale król rzekł: Nie! Niechaj komendant zabierze wszystkich swoich ludzi, osadzi okręty dobrze na kotwicach, przywiezie towary na ląd i sprzeda jak najlepiej. Kapitan pożegnał króla, poczem wróciliśmy do naszej kwatery. Ponieważ było już późno, nie próbowaliśmy wcale wracać tej nocy.

W czwartek rano przyprowadzono komendantowi nieosiodłanego konia, na którego kapitan wzbraniał się wsiąść, żądając zwykłego

(7) Vasco da Gama

konia — miał na myśli lektykę —, gdyż bez siodła nie potrafi jechać. Zaprowadzono go do domu pewnego bogatego kupca, który kazał narządzić lektykę. Wkrótce potem komendant ruszył do Pandarani, gdzie stały nasze okręty. Tłum ludzi szedł za nim. My nie mogliśmy za nim nadążyć i pozostaliśmy wtyle. Gdyśmy tak szli, dogonił nas bale, który chciał się spotkać z komendantem. Zgubiliśmy drogę i szliśmy w złym kierunku, ale bale przysłał nam człowieka, który wskazał nam znowu właściwą drogę. Gdyśmy przybyli do Pandarani, zastaliśmy komendanta w gospodzie, jakich wiele jest tam przy drogach, aby chronić podróżnych i wędrowców przed deszczem.

Bale i wielu innych ludzi byli przy komendancie. Po naszem nadejściu komendant poprosił balego o barkę, abyśmy mogli dostać się do okrętów. Ale bale i inni oświadczyli, że jest już późno — istotnie słońce już zaszło — i że lepiej abyśmy pojechali nazajutrz rano. Lecz komendant oświadczył, iż uda się do króla, jeśli natychmiast nie otrzyma barki. Gdyż król rozkazał odwieźć go do okrętów, podczas gdy oni usiłują go zatrzymać. Gdy Maurowie ujrzeli gniew komendanta, rzekli,

że może jechać zaraz, jeśli chce; jeżeli trzeba, dadzą mu do dyspozycji 30 bark. Potem zaprowadzili nas na wybrzeże, a komendant, który widział w tem zły znak, posłał trzech ludzi naprzód, aby rozejrzeli się za łodziami okrętowemi, gdyby je zaś spotkali z jego bratem, aby mu poradzili mieć się na baczności. Ale że poprowadzono nas w innym kierunku, nie spotkaliśmy się z nimi.

Umieszczono nas teraz w domu pewnego Maura — tymczasem noc posunęła się daleko —, a gdyśmy się tam znaleźli, Maurowie oświadczyli, iż pójdą poszukać owych trzech ludzi, których posłaliśmy naprzód. Kiedy poszli, kazał komendant kupić wiele kur i ryżu, i mimo zmęczenia zjedliśmy wieczerzę, aczkolwiek cały dzień byliśmy na nogach.

Dopiero rano powrócili ludzie, którzy udali się na poszukiwanie, a kapitan sądził, że najprawdopodobniej są oni jednak do nas przychylnie usposobieni i działali w dobrych zamiarach, zatrzymując nas przez noc. Z drugiej strony nie mieliśmy do nich zaufania wskutek wydarzeń w Calicucie i sądziliśmy, że są do nas źle usposobieni.

Gdy wrócili, komendant raz jeszcze poprosił o łodzie. Maurowie naradzili się między

sobą i odparli, iż otrzymamy łodzie, jeśli każemy naszym statkom podjechać bliżej do brzegu. Kapitan odparł, iż gdyby wydał taki rozkaz, brat jego sądziłby, że jest on uwięziony, a wobec tego rozkaz taki wyda on tylko pod przemocą. Wówczas podniesionoby żagle i wrócono do Portugalji. Maurowie odparli, iż jeśli nie chcemy rozkazać okrętom zbliżyć się do brzegu, nie możemy udać się na nie. Komendant odparł, iż król kazał go odwieźć na okręty. Jeśli nie spełnią tego rozkazu, wówczas on powróci do króla, który jest chrześcijaninem jak on. Jeśli król nie puści go do okrętów i zatrzyma go w swym kraju, pozostanie chętnie. Teraz Maurowie odparli, że komendant może się udać na okręty, ale nie dali mu sposobności do tego, lecz zamknęli natychmiast wszystkie drzwi, a wielu uzbrojonych mężów przybyło jako warta. Nikt z nas nie mógł wyjść bez straży.

Potem zażądali naszych żagli i sterów. Komendant odparł, iż nie odda ich: król Camolin rozkazał mu bez żadnych warunków, aby udał się na okręty, oni zaś mogą z nim robić, co chcą, a nic nie dostaną.

Komendant i my wszyscy byliśmy bardzo przybici. Ale nie dawaliśmy tego poznać po

sobie i udawaliśmy, że nie widzimy, co oni robią. Komendant oświadczył, że jeśli zabronią jemu samemu powrócić na okręty, to przynajmniej ludzi jego powinni puścić wolno, tu bowiem umrą z głodu. Ale i my musieliśmy pozostać. Jeśli umieramy z głodu, musimy to znieść, gdyż oni nie mogą się o to troszczyć. Podczas tej sceny powrócił jeden z ludzi, których zgubiliśmy w nocy. Zameldował on komendantowi, że Nicolao Coelho od ostatniej nocy oczekuje nas z łodziami. Gdy to komendant usłyszał, wysłał w jak największej tajemnicy, gdyż byliśmy przecież otoczeni strażą, gońca do Mikołaja Coelho z rozkazem, aby powrócił do okrętów i umieścił je w bezpiecznem miejscu. Ale warty spostrzegły to i na licznych barkach puściły się w pogoń za gońcem. Gdy Maurowie ujrzeli, że go nie dogonią, wrócili do komendanta i zażądali, aby napisał do brata list i rozkazał mu podjechać z okrętami bliżej do lądu. Kapitan odparł, że uczyniłby to chętnie, ale brat jego nie usłuchałby tego rozkazu. A gdyby nawet on chciał, to towarzysze jego, którzy nie chcą umierać, przeszkodzą mu w tem. Maurowie zapytali, jak to może być, gdy przecież wiadomo im, że każdy jego rozkaz jest natychmiast spełniany.

Kapitan nie chciał, aby okręty wjeżdżały do portu, gdyż sądził — a i my dzieliliśmy to mniemanie —, że gdyby już doszło do tego, znalazłyby się one szybko w rękach Maurów. Potem zabitoby najpierw jego, a następnie nas, którzy już przecież znajdowaliśmy się w ich mocy.

Dzień ten minął w wielkich troskach. W nocy zebrało się koło nas więcej ludzi, niż poprzednio. Nie pozostawiono nas dłużej w dotychczasowem miejscu, lecz przeprowadzono wśród tłumu ludzi do małego, krytego dziedzińca. Spodziewaliśmy się, że następnego *dnia zostaniemy rozłączeni*, lub też spotka nas inne jakieś nieszczęście. Widzieliśmy bowiem, że Maurowie byli bardzo rozgoryczeni do nas. Mimo to przygotowaliśmy sobie dobrą *wieczerzę z produktów, które można było* nabyć we wsi. Przez całą noc pilnowało nas ponad stu ludzi, uzbrojonych w miecze, obosieczne topory, tarcze i łuki. Podczas gdy *jedni spali, inni czuwali.* Każdy pełnił kolejno swą straż.

Następnego dnia, było to 2 czerwca, dostojnicy powrócili, tym razem z uprzejmiejszemi twarzami. Oznajmili oni komendantowi, że ponieważ obiecał królowi, iż wyładuje swe

towary, może to teraz uczynić, jest bowiem zwyczajem tego kraju, iż każdy zawijający tu statek wyładowuje natychmiast towary i załogę, zaś właściciel niewcześniej powraca na okręt, aż sprzeda wszystkie towary. Kapitan zgodził się na to i oświadczył gotowość napisania do brata, aby wydał odpowiednie zarządzenia. Maurowie przystali na to i oznajmili mu, że natychmiast po nadejściu towarów będzie mógł powrócić na okręty. Komendant napisał natychmiast do brata, aby przysłał mu rozmaite towary, co tenże uczynił niezwłocznie. Po nadejściu towarów komendant udał się na pokład, a dwóch tylko ludzi pozostało z towarami.

Byliśmy bardzo uradowani z tego wyjścia i dziękowaliśmy Bogu, że uwolnił nas z rąk tych ludzi, którzy nie mają więcej uczucia, niż dzikie zwierzęta. Gdy tylko komendant był znowu na pokładzie, nie mieliśmy się czego obawiać. Gdy kapitan przybył na statek, wydał rozkaz, aby nie wysyłać więcej towarów na ląd.

Po pięciu dniach wysłał komendant do króla gońca z następującemi skargami: Chociaż król posłał go wprost do okrętów, ludzie jego przetrzymali go w drodze dzień i noc. Jak

mu rozkazano, wyładował swe towary, ale Maurowie przyszli obniżać ceny. Komendant oczekuje więc rozkazów króla. Do towarów nie przywiązuje wagi, ale jest ze swemi okrętami do jego dyspozycji. Król kazał odpowiedzieć, że ci co tak postąpili, są złymi chrześcijanami i zostaną ukarani. Zarazem wysłał siedmiu czy ośmiu kupców, aby obejrzeli towary, a jeśli im się spodobają, kupili. Posłał też tam pewnego zaufanego człowieka oraz marszałka dworu i pozwolił im zabić każdego Maura, który się pokaże.

Kupcy, wysłani przez króla, pozostali tydzień. Ale zamiast kupować, i oni ganili towar. Maurowie nie przychodzili więcej do domu, gdzie znajdowały się towary. Ale nie byli do nas dobrze usposobieni i widząc któregoś z nas na ulicy, spluwali i wołali: „Portugal! Portugal!“ Od pierwszej chwili bowiem nie mieli nic innego na myśli, jak schwytać nas i pozabijać.

Gdy komendant przekonał się, że towary nie znajdą tutaj kupców, poprosił króla o pozwolenie przewiezienia ich do Calicutu. Król rozkazał natychmiast balemu postarać się o odpowiednią ilość ludzi, którzy przenieśliby wszystko na plecach do Calicutu. Koszta

poniesie on sam, nic bowiem, co należy do króla Portugalji, nie może być w jego kraju obarczone kosztami. Ale wszystko to robiono tylko, aby nam sprawić przykrości. Gdyż królowi doniesiono, że jesteśmy korsarzami i zajmujemy się rabunkiem.

W niedzielę 24 czerwca, w dzień św. Jana, przeniesiono towary do Calicutu. Komendant zarządził, aby cała załoga kolejno zwiedzała miasto, a to w następujący sposób: każdy statek wysyłał na ląd jednego człowieka; gdy ten powracał, szedł następny. W ten sposób każdy obejrzał sobie miasto i mógł porobić zakupy. Marynarze byli po drodze serdecznie witani przez chrześcijan, którzy radzi byli, gdy który z nas wchodził do ich domów, jadł tam i spał, to też dzielili się z nami wszystkiem, co posiadali. Zarazem wielu ludzi przyjeżdżało łodziami na nasze okręty, aby wymieniać u nas ryby na chleb, a i my przyjmowaliśmy ich serdecznie. Wielu przybyło z synami lub małemi dziećmi, a komendant kazał ich ugaszczać. Wszystko to działo się w zamiarze nawiązania pokojowych i przyjaznych stosunków i skłonienia ich do tego, aby wyrażali o nas dobre mniemanie. Ilość przybyszów była tak wielka, że często noc zapadała,

zanim się ich wszystkich pozbyliśmy. Winne temu było po pierwsze gęste zaludnienie tego kraju, a nadto brak żywności. Zdarzało się nawet, że gdy nasi ludzie szli naprawiać żagle i zabierali do jedzenia suchary, opadali ich starzy i młodzi, wyrywając im suchary z rąk i nie pozostawiając im nic.

Wszyscy nasi ludzie zwiedzili więc po dwóch lub trzech miasto, zabierając ze sobą bransolety, odzież, koszule i inne rzeczy, które tam sprzedawali. W każdym razie nie mogliśmy osiągnąć tak wysokich cen, jak się spodziewaliśmy, gdyśmy byli w Mozambiku. Gdyż za piękną koszulę, która kosztuje w Portugalji 300 rejsów, dawano tu tylko 2 fanôes[72], co odpowiada wartości 30 rejsów, lecz tu stanowi wielką sumę. Tak samo tanio, jak sprzedawaliśmy koszule, musieliśmy się wyzbyć i innych rzeczy, aby móc na wzór choćby zabrać niektóre produkty tego kraju. Kto zwiedzał miasto, kupował tam goździki korzenne, cynamon i kamienie szlachetne. Załatwiwszy zakupy, ludzie powracali na okręty bez przeszkód z jakiejkolwiek strony.

Gdy komendant przekonał się, że ludność tego kraju jest do nas tak dobrze usposobiona,

postanowił pozostawić tu jednego sprzedawcę, pisarza oraz kilku ludzi z towarami.

8. Przygotowania do powrotu.

Ponieważ zbliżał się czas odjazdu, komendant posłał królowi podarek z bursztynów, korali i innych. Jednocześnie powiadomił go, że zamierza powrócić do Portugalji. Jeśli więc król pragnie posłać z nim kilku ludzi do króla portugalskiego, to on natomiast pozostawi tu faktora, pisarza i kilku ludzi z towarami. Jako odwzajemnienie za swój podarek prosił o próbki wszelkich korzeni, jakie król uzna za odpowiednie. O zapłatę, jeśli będzie uznana za potrzebną, zatroszczy się faktor.

Cztery dni czekać musiał wysłaniec, zanim dopuszczono go przed króla. A gdy wreszcie wprowadzony został do pałacu, król spojrzał nań złym wzrokiem i zapytał, czego sobie życzy. Wysłaniec powtórzył swe zlecenie i chciał doręczyć podarki. Ale król rzekł, żeby te rzeczy dał marszałkowi dworu, gdyż on sam nie chce ich widzieć. Kapitanowi zaś ma poseł donieść, że jeśli chce odjeżdżać, niechaj pierw zapłaci 600 xerafinów;[73] taki jest bowiem zwyczaj tutejszy, którego trzymają się wszyscy

przybysze. Diogo Diaz, który był naszym wysłańcem, chciał teraz zanieść komendantowi odpowiedź. Ale gdy tylko opuścił pałac, ruszyło za nim kilku ludzi, kiedy zaś przybył do domu w Calicucie, gdzie znajdowały się nasze towary, postawiono dokoła wartę, aby nie mógł nic wywieźć. W mieście ogłoszono zarazem obwieszczenie, zabraniające wszystkim łodziom zbliżania się do naszych okrętów.

Gdy Portugalczycy przekonali się, że są uwięzieni, wysłali młodego Negra na wybrzeże na poszukiwanie łodzi, aby móc dać znać o rozkazie króla. Negr udał się do przedmieścia, zamieszkanego przez rybaków, gdzie też za 3 fanôes, znalazł łódkę, która przewiozła go do okrętów. Rybak odważył się na to dlatego tylko, że było już ciemno i nikt ich nie mógł widzieć z miasta. Zaledwie Negr znalazł się w łódce, odbili natychmiast. Działo się to w poniedziałek 13 sierpnia 1498 roku.

Nowiny te usposobiły nas smutno, nietylko dlatego, że towarzysze nasi znajdowali się w ręku wrogów, lecz także iż nasz wyjazd postawiony był przez to w wątpliwość. Nie mogliśmy też pojąć, aby chrześcijański książę, któremu przywieźliśmy podarki, postąpił wobec nas tak źle. Uważaliśmy go za

mniej winnego, niż wskazywały pozory. Zauważyliśmy bowiem, że Maurowie osiadli w mieście oraz kupcy z Mekki i innych miejscowości nie mogli nas ścierpieć. Oczernili nas oni przed królem, że jesteśmy złodziejami i że jeśli będziemy przyjeżdżali do jego kraju, to nie zawinie tu ani jeden okręt z Mekki, Quambay, Imgros[74], ani żadnej innej miejscowości. Ze stosunków z nami, dowodzili, nie będzie on miał żadnej korzyści, przeciwnie, chcemy tylko zabierać, przez co kraj zubożeje. Ofiarowali królowi bogate dary, jeśli każe nas schwytać i zabić, abyśmy nie mogli powrócić do Portugalji.

Komendant nasz dowiedział się tego od pewnego zamieszkałego tu Maura, który podsłuchał, co się miało z nami stać, i który ostrzegał kapitanów, a zwłaszcza komendanta, przed udaniem się na ląd. Nadto dowiedzieliśmy się jeszcze od dwóch chrześcijan, że kapitanowie, gdyby udali się na ląd, mają być zabici. Tak bowiem postępuje król ze wszystkimi, co przyjeżdżają do jego kraju i nie przywożą mu złota.

Tak stały sprawy. Nazajutrz do statków nie przybyła ani jedna łódź. Następnego dnia odwiedziło nas czterech młodzieńców

w almadji, którzy zaproponowali nam drogocenne kamienie na sprzedaż. Nam jednak wydało się, że przybyli oni z polecenia Maurów, raczej aby wyśledzić, jak z nimi postąpimy, niżeli w celach handlowych. Kapitan przyjął ich życzliwie i napisał list do naszych towarzyszów, którzy młodzieńcy zabrali. Gdy ludzie ci przekonali się, że nic im nie zrobiono, codziennie poczęły przybywać tłumy kupców i ciekawych. Wszyscy przyjmowani byli serdecznie i ugaszczani.

Następnej niedzieli przybyło około 25 ludzi. Pośród nich znajdowało się sześć wybitnych osobistości. Kapitan doszedł do wniosku, że możemy przez nich odzyskać swych jeńców. Kazał więc zatrzymać tych sześciu i jeszcze tuzin innych ludzi. Pozostałych kazał odwieźć łodzią na ląd i posłał przez nich list do faktora królewskiego. W liście tym donosił, że zakładnicy zostaną niezwłocznie wypuszczeni na wolną stopę, jeśli towarzysze nasi, którzy zostali przytrzymani, uzyskają wolność. Gdy się rozniosła wieść, że uwięziliśmy zakładników, tłum ludzi udał się do domu, gdzie zamknięto naszych kupców, i nie czyniąc im nic złego, zaprowadził ich do domu faktora.

W czwartek 23 sierpnia rozwinęliśmy żagle i oznajmiliśmy, że płyniemy do Portugalji, ale wnet powrócimy. A wówczas przekonają się oni, czy jesteśmy złodziejami. Wskutek wiatru zarzucilimy kotwicę o 4 legua od Calicutu.

Następnego dnia popłynęliśmy znowu zpowrotem ku lądowi, ale że nie mogliśmy pokonać pewnych mielizn naprzeciw Calicutu, wyjechaliśmy znowu na morze i zarzuciliśmy kotwicę nawprost miasta.

W sobotę 25 sierpnia wyjechaliśmy jeszcze dalej i wówczas dopiero zarzuciliśmy kotwicę, gdy zaledwie widzieliśmy ląd. W niedzielę, gdyśmy się jeszcze znajdowali na kotwicy, oczekując na jakiś łup, zbliżyła się do nas łódź, która wyjechała, aby nas poszukać. Doniesiono nam, że Diogo Diaz znajduje się w domu królewskim, a jeśli wydamy swych jeńców, zostanie odstawiony na pokład. Ale kapitan nasz był pewien, że został on zabity i że mówią nam tak poto tylko, aby nas przetrzymać, aż zdążą skompletować swe uzbrojenie, albo aż nadejdą okręty z Mekki, które mają nas schwytać. Rozkazał więc posłom, aby zawrócili, w przeciwnym bowiem razie każe do nich strzelać z bombard, i aby się nie ważyli

wracać bez Diaza i jego ludzi, lub choćby listu od niego. Dodał też, że jeśli nie stanie się to szybko, to każe ściąć głowy zakładnikom. Potem powiał pomyślny wiatr, tak iż znowu przez pewien czas płynęliśmy wzdłuż wybrzeża.

Gdy król usłyszał, że odpłynęliśmy do Portugalji, a on nie zdołał osiągnąć swego celu, chętnie cofnąłby swe złe czyny. Kazał on zawołać Diogo Diaza, którego przyjął ze specjalnie podkreśloną życzliwością, inaczej zupełnie, niż wówczas, gdy przywiózł on podarki. Zapytał on, dlaczego komendant uwięził zakładników. Diogo Diaz odparł, iż stało się to dlatego, że król nie pozwala jemu i jego towarzyszom powrócić na okręty i trzyma ich tu jak więźniów. Potem król zapytał, czy faktor jego, żądał od niego czegoś, przez co chciał, dać do zrozumienia, że nie wie nic o sprawie i że faktor sam odpowiedzialny jest za represje. Zwracając się zaś do faktora, zapytał go, czy nie wie o tem, iż niedawno zupełnie inny faktor oddał głowę za to, że nałożył podatki na pewnych kupców, którzy przybyli tutaj? Następnie król rzekł: „Idź zpowrotem na okręty, ty i wszyscy, którzy przybyli z tobą, i poproś kapitana, aby odesłał mi zatrzymanych ludzi; powiedz mu też, że

ludzie, którzy wam będą towarzyszyli, mogą zabrać słup, który — o ile zrozumiałem — komendant chciał umieścić na lądzie, wy zaś możecie tu ze swemi towarami pozostać.“ Zarazem wręczył mu list do komendanta, który Diogo Diaz napisał żelaznem piórem na liściu palmowym, jak przyjęto w tym kraju, a który przeznaczony był dla króla portugalskiego. Treść tego listu była następująca:

„Vasco da Gama, szlachcic Waszego dworu, przybył do mego kraju, co mię bardzo ucieszyło. Kraj mój zasobny jest w cynamon, gożdziki, imbier, pieprz i kamienie drogocenne. Chętnie wymieniałbym je z Wami na złoto, srebro, korale i sukno purpurowe“.

W poniedziałek 27 tegoż miesiąca, rano, gdy znajdowaliśmy się jeszcze na kotwicy, siedem silnie obsadzonych łodzi przywiozło Diogo Diaza i jego towarzyszów. Nie odważyli się wysadzić ich na pokład, lecz kazali im wsiąść do naszej łodzi, uwiązanej jeszcze za okrętem. Towarów nie przywieźli, sądzili bowiem, że Diogo powróci z nimi. Ale gdy komendant ujrzał go raz na pokładzie, nie pozwolił mu już wracać na ląd. Ludziom króla dał słup kamienny, który król obiecał

postawić. Dał im też sześciu zatrzymanych dostojników, natomiast innych sześciu zakładników zatrzymał jeszcze, obiecując uwolnić ich nazajutrz rano, gdy otrzyma swe towary.

We wtorek nad ranem, gdy jeszcze leżeliśmy na kotwicy, pewien Maur z Tunisu, który mówił naszym językiem, schronił się na pokład jednego z naszych okrętów. Opowiadał, iż zabrano mu całe mienie; mogło być z nim jeszcze gorzej. Ludzie tutejsi oskarżyli go, iż jest chrześcijaninem, który przybył do Calicutu z polecenia króla portugalskiego. Dlatego woli on odjechać z nami, niż pozostać w kraju, gdzie codzień może się spodziewać śmierci.

Koło 10 godziny zbliżyło się do nas siedem silnie obsadzonych łodzi. Trzy z nich załadowane były towarami, które pozostawiliśmy na lądzie. Dano nam do zrozumienia, że są to wszystkie rzeczy, należące dó nas. Dalej oznajmiono nam, że jeśli odeślemy pojmanych ludzi, jedną z naszych łodzi, otrzymamy wzamian swe towary. Zrozumieliśmy jednak ich podstęp, a komendant oznajmił im, że na towarach mało mu zależy, natomiast chętnie zabierzemy ludzi tych do Portugalji. Jednocześnie upomniał ich, aby się mieli na baczności, gdyż spodziewa się on wkrótce powrócić do

Calicutu. Wówczas zaś przekonają się oni czy jesteśmy istotnie złodziejami, jak im opowiadali Maurowie.

9. Powrót.

W środę 29 sierpnia komendant i kapitanowie zgodzili się, iż najlepiej będzie opuścić tę okolicę, gdyż odkryliśmy już kraj, którego szukaliśmy, znaleźliśmy też korzenie i kamienie drogocenne, zaś nawiązanie przyjaznych stosunków z ludnością wydaje się niemożliwem. Postanowiono więc zabrać owych ludzi, których zatrzymaliśmy. Gdyż będą nam oni może za następnym pobytem w Calicucie pomocni w nawiązaniu przyjaznych stosunków. Rozwinęliśmy więc żagle i popłynęliśmy ku Portugalji, wdzięczni z całego serca swemu dobremu losowi, iż dał nam w udziale tak cenne odkrycie.

W czwartek w południe, gdy wskutek ciszy zatrzymaliśmy się mniej więcej o 1 legua na północ od Calicutu, wyruszyło na nas około siedemdziesięciu łodzi. Załoga nosiła rodzaj pancerzy z czerwonego sukna, układanego w fałdy. Gdy łodzie znalazły się na odległości strzału naszych bombard, komendant skinął: ognia! Gonili nas oni około 1½

godziny, aż zerwał się wicher, który pchnął nas na pełne morze. Gdy tylko ujrzeli, że nie mogą nam nic zrobić, zawrócili, podczas gdy my ruszyliśmy w dalszą drogę.

Z krainy Calicut czyli Alta India pochodzą korzenie, używane na Wschodzie i Zachodzie, w Portugalji i wszystkich innych krajach świata, oraz kamienie drogocenne. Miasto Calicut samo produkuje bardzo wiele imbieru, pieprzu i cynamonu, ten jednak nie takiej dobroci, jak na wyspie Cillan,[75] oddalonej o osiem dni drogi od Calicutu. Calicut jest punktem zbornym całego tego cynamonu. Z wyspy Melegua[76] sprowadzane są goździki korzenne. Żeglarze z Mekki zawożą te korzenie do miasta w Mecce, Dżiddy[77]. Z wyspy Melegua do Dżiddy jedzie się piętnaście dni przy pomyślnym wietrze, gdyż statki tego kraju nie umieją lawirować. W Dżiddzie wyładowuje się transporty i płaci wielkiemu sułtanowi należne cła. Towary przechodzą wówczas na małe żaglowce, które wiozą je do pewnego miejsca wpobliżu Santa Catarina przy górze Synaj, zwanego Tuuz[78], gdzie są powtórnie clone. Tutaj kupcy załadowują korzenie na wielbłądy, które wynajmują za cztery cruzado[79], i w dziesięć dni przywożą je

do Kairu. Tam ponownie opłaca się podatki. Po drodze do Kairu karawany często podlegają napadom i grabieżom. Gdyż w okolicy tej mieszkają złodzieje, jak Beduini i inne plemiona.

W Kairze przeładowuje się korzenie na Nil. Nil czerpie swe wody z państwa arcykapłana Jana, Indyj Dolnych[80]. Przez dwa dni jadą okręty z biegiem rzeki, która niesie ich do Roette[81], gdzie znowu opłaca się cła. Tutaj towary przeładowuje się jeszcze raz na wielbłądy i w ciągu jednodniowej podróży przewozi do Aleksandrji, portu morskiego. Miasto to nawiedzane jest przez statki z Wenecji i Genui, które zakupują tam korzenie. Handel ten przynosi wielkiemu sułtanowi z podatków 600 000 cruzado, z czego wypłaca on pewnemu królowi, imieniem Cidadym roczny zasiłek 100 000 cruzado na wojnę przeciw arcykapłanowi Janowi. Tytuł „wielkiego sułtana" nie przechodzi z ojca na syna przez dziedzictwo, lecz bywa kupowany.

Ale powracam do naszej podróży.

Jadąc wzdłuż wybrzeża musieliśmy stale lawirować pod lekkiemi powiewami z lądu i morza, gdyż wiatr był słaby. Wreszcie nastała zupełna cisza i musieliśmy zarzucić kotwicę.

W poniedziałek 10 września wysłał komendant jednego z pojmanych ludzi — był on jednooki — na ląd, z listem do Camolima. List ten został napisany w języku arabskim przez jednego z towarzyszących nam Maurów. Wysadziliśmy tego człowieka w mieście Copia[82], którego król Biaquotte wiódł wojnę z królem Calicutu.

Następnego dnia — cisza trwała jeszcze ciągle — do okrętów zbliżyły się łodzie, a przewodnik ich wszedł bez obawy na pokład, proponując nam kupno ryb.

W sobotę 15 września znaleźliśmy się przed kilkoma wysepkami, oddalonemi mniej więcej o 2 legua od lądu. Spuściliśmy łódź i wbiliśmy pal na jednej z wysp, którą nazwaliśmy Santa Maria. Gdyż król kazał nam wbić trzy pale i nazwać je S. Raphael, S. Gabriel i Santa Maria. Wbiliśmy wszystkie trzy pale szczęśliwie, pierwszy, S. Raphael, na Rio dos bons signâes, drugi, S. Gabriel, w Calicucie, a tu trzeci, Santa Maria.

I tu podjechało do nas wiele łodzi, przywożąc ryby. Komendant uszczęśliwił tych ludzi, dając im w podarku koszule. Zapytał ich, czy cieszyliby się bardzo, gdybyśmy na wybrzeżu ich wbili słup. Otrzymaliśmy odpo-

wiedź, że będą oni nader szczęśliwi; gdyż będzie to dla nich dowodem, że jesteśmy chrześcijanami jak oni. Pal został więc za obopólną zgodą umieszczony.

Tejże nocy rozwinęliśmy żagle z pomyślnym wiatrem i ruszyliśmy w dalszą podróż. W czwartek 20 października przybyliśmy do wzgórzystego kraju, który zdawał się piękny i zdrowy. Tuż przy lądzie znajdowało się sześć małych wysepek[83]. Zarzuciliśmy kotwicę w pobliżu wybrzeża i spuściliśmy łódź, aby zaopatrzyć się w wodę i drzewo na podróż przez zatokę*), którą spodziewaliśmy się odbyć wnet przy pomyślnym wietrze. Przy wylądowaniu spotkaliśmy jakiegoś młodzieńca, który wskazał nam źródło z przepyszną wodą, tryskające między dwoma pagórkami na brzegu rzeki. Komendant podarował młodzieńcowi czapkę i zapytał go, czy jest Maurem czy chrześcijaninem. Ten odparł, iż jest chrześcijaninem, i ucieszył się bardzo, gdyśmy mu się również dali poznać jako chrześcijanie.

Następnego dnia przyjechało czterech ludzi w almadji i przywieźli dynie i ogórki. Komendant zapytał, czy w kraju tym rośnie

---

*) Morze Arabskie.

cynamon, pieprz lub inne korzenie, i dowiedział się, że rodzi tu się moc cynamonu, ale nic więcej. Kapitan posłał z nimi na ląd dwóch ludzi po próbki. Poprowadzono ludzi naszych do lasu, gdzie rosło mnóstwo drzew, z których się otrzymuje cynamon, a jako próbę ścięli oni dwie grube gałęzie wraz z liśćmi. Tych dwu ludzi spotkaliśmy przy czerpaniu wody. Szło za nimi ze dwudziestu tubylców, którzy nieśli komendantowi drób, mleko krowie i ogórki. Prosili oni kapitana, aby posłał ludzi jeszcze raz, a pokażą im mnóstwo suchego cynamonu, który znajduje się niedaleko stąd, i dadzą z niego próbki.

Gdyśmy nabrali wody, powróciliśmy do okrętów, a tubylcy obiecali, że powrócą następnego dnia i przyniosą nam w podarunku krowy, drób i świnie.

Nad ranem ujrzeliśmy tuż przy brzegu w odległości 2 legua od nas dwa żaglowce, ale nie zwróciliśmy na nie uwagi. Rąbaliśmy drwa, czekając na przypływ, który zaniesie nas na rzekę, gdzie zamierzaliśmy czerpać wodę. Gdyśmy tak byli zajęci, przyszło kapitanowi na myśl, że żaglowce te były większe niż mu się początkowo zdawało. Kazał więc, gdy tylko zjedliśmy śniadanie, siąść w łodzie

i zbadać, czy statki te należą do Maurów, czy do chrześcijan. Na pokładzie wysłał komendant jednego z majtków do bocianiego gniazda aby się rozejrzał, czy innych statków nie widać, i istotnie wnet odkryto na pełnem morzu w odległości około 6 legua jeszcze osiem wielkich okrętów, stojących w miejscu. Zaledwie komendant otrzymał tę wiadomość, wydał rozkaz zatopienia okrętów. Żaglowce, otrzymawszy pomyślny wiatr, popłynęły naprzód, a gdy znalazły się one w odległości kilku legua na równym poziomie z nami, a my doszliśmy do wniosku, że i one mogłyby nas odkryć, skierowaliśmy się ku nim. Gdy statki ujrzały nas, pożaglowały znowu na morze. Jeden z okrętów był niezdatny do jazdy, gdyż miał złamany ster. Załoga uszła z niego do uwiązanej ztyłu szalupy i bezpiecznie wydostała się na ląd. Byliśmy najbliżej tego okrętu i weszliśmy na jego pokład. Ale znaleźliśmy tam tylko prowjant, orzechy kokosowe, cztery naczynia z sokiem palmowym i broń. Reszta był to piasek, służący za balast. Pozostałe siedem okrętów poszły na dno, a my ostrzeliwaliśmy je ze swych łodzi.

Nazajutrz, gdyśmy się jeszcze znajdowali na kotwicy, przybyło do okrętu łodzią siedmiu

ludzi, którzy opowiedzieli nam, że okręty te przybyły w poszukiwaniu nas z Calicutu, a gdyby się im ta sztuczka udała, zabitoby nas.

Wieczorem opuściliśmy znowu swe miejsce postoju i zarzuciliśmy kotwicę o jakieś dwa strzały z fuzji od miejsca, gdzieśmy się poprzednio znajdowali, tuż przy jednej ze wzmiankowanych wysepek, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć dobrą wodę. Rano komendant wysłał Mikołaja Coelho z uzbrojoną łodzią na poszukiwanie wodopoju. Natknął się on na ruiny wielkiego kamiennego kościoła, który z wyjątkiem krytej słomą kaplicy zburzony został przez Maurów. Opowiadali nam to tubylcy, którzy odprawiali swe nabożeństwa przed trzema czarnemi kamieniami, umieszczonemi w kapliczce. Koło kościoła odkryliśmy studnię, zbudowaną podobnie jak kościół z ciosanych kamieni. Z niej nabraliśmy potrzebnej wody. Druga, wielka, na cztery fady głęboka cysterna znajdowała się na najwyższym punkcie wyspy. Na brzegu, naprzeciw kościoła, wyholowaliśmy Berrio i okręt komendanta. Raphaela nie mogliśmy wyciągnąć na ląd wskutek trudności, o których opowiem niżej.

Gdyśmy pewnego dnia zajęci byli na Berrio, leżącym przy brzegu, zbliżyły się do

nas dwie wielkie łodzie czyli fusty[84]. Płynęły one w takt trąb i piszczałek, a na masztach wywiesiły chorągwie. Pięć innych łodzi pozostało dla ich obrony na brzegu. Gdy podjechały bliżej, zapytaliśmy tubylców, którzy byli u nas, co to za ludzie. Tubylcy odparli, abyśmy ich nie puszczali na pokład, gdyż są to rabusie, którzy zechcą owładnąć naszemi statkami. Łotry te, zapewniano nas, mają przy sobie broń i przychodzą na pokład, jako przyjaciele. Jeśli im się to uda, a czują się dość silni opanowują okręt. Wobec tego, gdy tylko fusty znalazły się dość blisko. Raphael i statek komendanta wzięły je na cel. Wówczas załoga łodzi poczęła wołać: „Tambaram!“, co miało nas przekonać, iż są oni chrześcijanami, gdyż chrześcijanie w Indjach nazywają Boga „Tambaram[85]“. Gdy, jednak spostrzegli, że nie zwracamy na to uwagi, uciekli na ląd. Nicolao Coelho gonił ich trochę, ale sygnał komendanta odwołał go zpowrotem.

Następnego dnia, gdy kapitan i wielu marynarzy zajęci byli na lądzie przy Berrio, przybyły dwie małe łodzie, a w nich tuzin dobrze odzianych ludzi, którzy przywieźli wiązkę trzciny cukrowej, jako podarek dla komendanta. Gdy wylądowali, poprosili o pozwolenie

obejrzenia okrętów. Kapitan pomyślał, że są to szpiegowie i rozgniewał się. W tej chwili ukazały się jeszcze dwie łodzie z tylomaż ludźmi, ale gdy ci co pierw przybyli, spostrzegli, że kapitan nie był dla nich życzliwie usposobiony, dali znak tamtym, by powrócili na ląd. A i oni sami odjechali wnet.

Podczas holowania statku kapitana zjawił się jakiś człowiek, lat około czterdziestu, który mówił dobrze po wenecku. Ubrany był w płótno, miał piękny turban na głowie miecz u pasa. Zaledwie wyskoczył na ląd, uściskał serdecznie komendanta i kapitanów, opowiedział nam, że jest chrześcijaninem z Zachodu i we wczesnej młodości przybył do tego kraju. Obecnie znajduje się w służbie pewnego szlachcica maurytańskiego, który może wystawić 40 000 jazdy*). I on został Maurem, ale w głębi serca pozostał chrześcijaninem. Pewnego dnia dowiedział się on w domu swego pana, iż do Calicutu przybyli mężowie, których mowy nikt nie rozumie, a którzy odziani są od stóp do głów. Gdy tylko to usłyszał, rzekł, że muszą to być Frankowie. Gdyż pod tem mianem jesteśmy

*) Zapewne gubernator Goa.

my Europejczycy znani w tych krajach. Poprosił więc swego pana o pozwolenie odwiedzenia nas i oświadczył mu, że jeśli tego pozwolenia nie otrzyma, umrze ze smutku. Zaś pan jego, kazał mu pójść i oznajmić nam, że w kraju jego możemy otrzymać wszystko, czego nam trzeba, nawet okręty i prowianty, a jeśli zechcemy pozostać tu na stałe, będzie go to bardzo cieszyło. Gdy kapitan podziękował za te propozycje, które uważał za uczciwe, gość nasz poprosił o ser, który chętnie zaniósłby swym towarzyszom na lądzie, jako znak, że wszystko poszło dobrze. Komendant kazał mu dać ser i dwa białe chleby. Gość nasz pozostał jeszcze na wyspie i opowiadał nam tak wiele rozmaitości, że często sam sobie przeczył.

Tymczasem Paulo da Gama odwiedził chrześcijan, którzy przybyli z naszym gościem, i wypytał ich o niego. Twierdzili oni, że jest to korsarz, który chce nas napaść i ma w tym celu dobrze uzbrojony okręt na brzegu. Usłyszeliśmy dość; reszty mogliśmy się domyślić. Złapaliśmy go, zaprowadziliśmy na okręt, leżący na brzegu, i poczęliśmy go chłostać, aby go skłonić do wyznania, czy jest rzeczywiście korsarzem i poco do nas

przybył. Wówczas gość nasz wyznał, że zauważył, iż ludność w całym kraju jest do nas wrogo usposobiona. Jesteśmy otoczeni przez licznych zbrojnych, którzy ukryci są w zatokach; chwilowo nie poważą się oni jeszcze zaatakować nas, gdyż czekają na czterdzieści blisko żaglowców, które zostały uzbrojone do pościgu za nami. O sobie nie powiedział nic więcej, niż poprzednio. Później był on jeszcze trzy czy cztery razy „pytany", a choć nie wyznał tego wprost, mogliśmy wywnioskować z jego gestów, że przybył, aby wyszpiegować liczbę i uzbrojenie załogi naszych okrętów.

Na wyspie tej zatrzymaliśmy się dwanaście dni. Jadaliśmy przedewszystkiem wiele ryb, które nabywaliśmy od mieszkańców lądu, podobnie jak dynie i ogórki. Przywozili oni też na sprzedaż ładunki zielonego drzewa cynamonowego, na którem były jeszcze liście. Gdy tylko naprawiliśmy okręty, nabraliśmy wody i zatopiliśmy pojmany okręt, przygotowaliśmy się do dalszej drogi. W piątek 5 października podnieśliśmy kotwice.

Zanim przystąpiliśmy do zatopienia wspomnianego okrętu, kapitan i właściciel ofiarował nam zań 100 fanôes; ale komendant oświad-

czył mu, iż nie zależy nam na sprzedaży, a że jest to okręt nieprzyjacielski, woli go spalić.

Gdyśmy się oddalili o jakieś 100 legua od brzegu, Maur, którego zabraliśmy, oświadczył, iż czas, gdy musiał on udawać, minął już. W domu swego pana słyszał on, że zbłądziliśmy na wybrzeżu i nie znajdziemy już drogi do ojczyzny. Dlatego wypuszczono za nami moc żaglowców, aby nas schwytać. Jego zaś wysłał pan, aby przewiedział się o naszych planach i, jeśli to możliwe, zwabił nas na ląd. Jeśli bowiem złapią nas gdzie indziej, nie dostanie on swej części łupu. Jeżeli zaś wysiądziemy na ląd na jego obszarze, znajdziemy się w zupełności w jego ręku, a że jest on dzielnym mężem, będzie nas mógł zużytkować w walkach z sąsiednimi królami. Niestety rachunek zrobiony był bez gospodarza.

Liczne cisze morskie i słabe wiatry hamowały bardzo naszą podróż, i zużyliśmy trzy miesiące na przebycie zatoki. Cała załoga cierpiała na puchnienie dziąseł, które bardzo utrudniało jedzenie*). Nogi i inne części ciała podlegały

*) Szkorbut.

także obrzękowi. Obrzęk ten wzbierał póty, aż biedny chory umierał, jednak symptomaty jakiejkolwiek innej choroby nie ukazywały się. W ten sposób utraciliśmy trzydziestu ludzi. Tę samą ilość straciliśmy już poprzednio. Na każdym statku było jeszcze tylko siedmiu lub ośmiu majtków, zdolnych do pracy, a i ci nie władali już pełnemi siłami. Gdyby warunki te potrwały jeszcze dwa tygodnie, jestem pewien, że nie pozostałby nam ani jeden człowiek do obsługi okrętów. Podupadliśmy tak bardzo, że wszelkie więzy dyscypliny pękły. Cierpiąc tak strasznie, modliliśmy się ustawicznie do świętych o nasze statki. Kapitanowie odbyli naradę i postanowili, jeśli wiatry będą pomyślne, powrócić do Indyj, skąd jechaliśmy.

Ale Bogu spodobało się w dobroci Jego zesłać nam wiatry, które po sześciodniowej podróży zaniosły nas do lądu. Radość nasza z tego powodu była tak wielka, jakbyśmy już widzieli Portugalję. Wstąpiła w nas bowiem nadzieja, iż znowu będziemy zdrowi, jak dawniej.

Tymczasem nadszedł 2 stycznia 1499 roku. W nocy przybiliśmy do lądu. Następnego ranka rozejrzeliśmy się bliżej po wybrzeżu,

aby stwierdzić, dokąd nas morze zaniosło. Gdyż ani marynarze, ani piloci nie mogli określić miejsca tego na mapie. Niektórzy sądzili, iż znajdujemy się pomiędzy pewnemi wyspami w pobliżu Mozambiku, oddaleni od lądu stałego o jakieś 300 legua. Wnosili to stąd, iż Maur, którego zabraliśmy w Mozambiku, zapewniał, że wyspy te są bardzo niezdrowe, a mieszkańcy ich cierpią na tę samą chorobę, która nas trapiła.

Przed nami znajdowało się wielkie miasto. Wielopiętrowe domy stały wokół ogromnych placów. Mur o czterech czerwonych wieżach służył za obwarowanie. Miasto to na brzegu morza należało do Maurów i zwało się Magadoxo[86]. Gdyśmy byli tuż koło niego, oddaliśmy szereg strzałów i popłynęliśmy wzdłuż wybrzeża. Następnego dnia popłynęliśmy dalej, ale nocą zarzuciliśmy znowu kotwicę, gdyż nie wiedzieliśmy, jak daleko jesteśmy jeszcze od swego najbliższego celu, Milingue[87].

Podczas gdy w sobotę panowała cisza, zerwała się nad nami straszna nawałnica i porwała linowanie Raphaela. Gdyśmy byli zajęci naprawą, z miasta Pate[88] przybył silnie uzbrojony okręt korsarski z ośmiu łodziami. Gdy tylko znalazł się on w obrębie naszych

bombard, daliśmy ognia i korsarze umknęli. Ponieważ wiatru nie było, nie mogliśmy ich ścigać.

W poniedziałek 7 stycznia zarzuciliśmy wreszcie kotwicę w Melindi. Król wysłał natychmiast łódź z wieloma ludźmi, którzy przywieźli w podarku owce, i gońca, który powitał komendanta, Król kazał mu powiedzieć, że spodziewał się nas już wcześniej, i zapewnił go ponownie o swej przyjaźni. Komendant wysłał z gońcem na ląd człowieka, który miał przywieźć tak pożądany dla naszych ludzi zapas pomarańczy. Istotnie przywiózł on je następnego dnia, a także wiele innych owoców. Ale chorzy nasi niewiele z tego mieli. Gdyż klimat tak na nich tu podziałał, że wielu poumierało. Z polecenia króla przybyli też na pokład Maurowie, którzy zaproponowali nam kupno ptactwa i jaj.

Komendant, widząc, że wszystkie te względy spotkały nas w czasie, gdy tak bardzo ich potrzebowaliśmy, posłał królowi podarek. Przez pewnego marynarza, który umiał mówić po arabsku, kazał prosić o kieł słoniowy dla naszego króla i zapytać, czy może na znak przyjaźni umieścić w tym kraju słup pamiątkowy. Król odparł, iż z miłości dla króla

Portugalji spełni te prośby, gdyż chciałby mu się chętnie przypodobać. Istotnie przysłał zaraz komendantowi kieł słoniowy i pozwolił wbić słup.

Przysłał też młodego Maura, który chciał udać się z nami do Portugalji. Polecił go gorąco komendantowi, dodając, iż posyła go królowi portugalskiemu na znak, jak bardzo zależy mu na jego przyjaźni.

Pozostaliśmy tu pięć dni, szczęśliwi, że możemy wypocząć po trudach podróży, podczas której stale spoglądaliśmy śmierci w oczy.

W piątek rano ruszyliśmy dalej, a w sobotę, 12 tegoż miesiąca, przepłynęliśmy tuż koło Mombassy. W niedzielę zarzuciliśmy kotwicę koło mielizn S. Raphael. Tam musieliśmy spalić okręt tejże nazwy. Poprostu niemożliwem było szczupłemi siłami, które nam pozostały, obsługiwać trzy statki. Ładunek Raphaela podzieliliśmy między dwa pozostałe okręty. Zatrzymaliśmy się tu dwa tygodnie. Z miasta, położonego w pobliżu miejsca naszego postoju, a zwanego Tamugate[89], przyniesiono nam mnóstwo drobiu, aby go sprzedać lub wymienić na perkal i bransolety.

W niedzielę 27 stycznia opuściliśmy tę okolicę z pomyślnym wiatrem. Następnego rana zbliżyliśmy się do wielkiej wyspy, zwanej Jamgiber[90], która jest zamieszkana przez Maurów i znajduje się mniej więcej o 10 legua od lądu. Późnym wieczorem 1 lutego zarzuciliśmy kotwicę w pobliżu wyspy S. Jorge przy Mozambiku. Nazajutrz rano wbiliśmy pal na wyspie, gdzie słuchaliśmy mszy św. Padał tak silny deszcz, że nie mogliśmy rozpalić ognia, aby stopić ołów, którym chcieliśmy przymocować krzyż. Nie zdołaliśmy tego dokonać i musieliśmy powrócić na okręty.

3 marca przybyliśmy do zatoki São Braz. Złapaliśmy tam moc anchovis[91], fok i pingwinów, które zasoliliśmy na dalszą podróż. Dwunastego chcieliśmy opuścić zatokę. Ale zaledwie oddaliliśmy się o 10 — 12 legua, zerwała się silna burza, która zmusiła nas do powrotu.

Gdy wiatr podniósł się znowu, rozwinęliśmy żagle, a Pan zesłał nam wiatry tak pomyślne, że już 20 marca mogliśmy okrążyć przylądek Dobrej Nadziei. Kto wytrwał aż dotąd, nabierał ponownie nadziei, był znowu dobrej myśli i zdrów, choć chwilowo, wskutek

zimnych wiatrów, na jakie zostaliśmy wystawieni, czuliśmy się nawpół martwi. Składaliśmy jednak winę tego mniej na zimne wiatry, niż na zmiany klimatu, jakich doznaliśmy podczas podróży.

Gnani tęsknotą za ojczyzną, ruszyliśmy dalej. Przez 27 dni mieliśmy wiatr za plecami. Zaniósł on nas w sąsiedztwo wyspy São Thiago. Według naszych map powinniśmy być od niej o jakieś 100 legua, ale niektórzy z nas sądzili, iż jesteśmy znacznie bliżej. Wkrótce jednak wiatr ustał i popadliśmy w ciszę. Tylko lekki wiaterek wiał nam naprzeciw. Silne wichry, wiejące z lądu, nie pozwoliły nam stwierdzić, gdzie się znajdujemy, i chcąc niechcąc musieliśmy lawirować z wiatrem.

W czwartek 25 kwietnia ustaliliśmy głębokość 35 fadów. Przez cały dzień jechaliśmy dalej. Ostatnie pomiary wykazały 20 fadów głębokości. Mimo to nie widać było lądu. Piloci sądzili, że znajdujemy się przed mieliznami Rio Grande[92].

Na tych słowach urywa się krótko pamiętnik.

Jak podają inne źródła, Vasco da Gama i Nicolao Coelho zostali rozłączeni przez burzę. Coelho jechał dalej sam i 10 lipca 1499 roku przybył do Cascaes wpobliżu Lizbony. Vasco da Gama czekał dzień na swego towarzysza i popłynął potem ku wyspie Sâo Thiago. Tam oddał statek S. Gabriel kapitanowi Joâo de Sa, sam zaś wsiadł na karawelę[93], na której odwiózł swego umierającego brata Paula na wyspę Terceira. S. Gabriel przybył wkrótce do Mikołaja Coelho do Portugalji. Paulo da Gama zmarł w dzień po przybyciu na wyspę Terceira i został pochowany w klasztorze opactwa franciszkańskiego. Rezydent wyspy Terceira, Artur Rodrigues, odpłynął natychmiast karawelą, aby zawieźć do Lizbony wiadomość o powrocie Vasco da Gamy.

Moment powrotu Vasco da Gamy do ojczyzny nie został ściśle określony.

TRZECIA PODRÓŻ VASCO DA GAMY DO INDYJ I JEGO PANOWANIE JAKO WICEKRÓLA W INDJACH, 1524.

Z Gaspara Correa, Lendas da India. Lizbona 1861.

1. Przybycie Vasco da Gamy do Indyj.

Dnia 11 września 1524 roku Vasco da Gama, odkrywca drogi morskiej do Indyj, przybył jako wicekról Indyj do Goa. Został on mianowany hrabią Vidigueira i admirałem mórz indyjskich. Na statku „Św. Katarzyna z góry Synaj" przybyli z nim dwaj jego synowie. Starszy, Estevan da Gama był nadkapitanem morskim i został później gubernatorem Indyj. Młodszy zwał się Paulo da Gama; został on zabity w walkach o Malakkę. Dom Vasco przywiódł ze sobą wielki dwór. Słudzy jego mieli srebrne laski; marszałek dworu i dwaj paziowie nosili złote łańcuchy na szyjach. Tłum masztalerzy i lokajów, ubranych wspaniale, oczekiwał stale na każde skinienie pana. Przywiózł on też

ze sobą bogate naczynia srebrne, przepyszne tapety z Flandrji i brokatowe serwety. Przy stole roznoszono olbrzymie półmiski, a specjalny sługa podawał miskę z wodą i ręcznik, słowem, obsługiwano go jak króla. Rzeźby na jego szafie do garderoby, łóżku i klęczniku były niezwykle piękne i bogate. Straż przyboczna z 200 ludzi była stale do jego rozporządzenia. Mieli oni złocone piki i nosili mundury w barwach wicekrólewskich. Stół jego był bogaty i gościnny; wszyscy panowie i znaczniejsze osoby jadali u niego. Zupełna władza prawna i podatkowa przekazana mu została niby królowi, i to na cały obszar na wschód od przylądka Dobrej Nadziei. Był to człowiek dumny, popędliwy w gniewie, odważny, budzący wielki postrach i cześć, ale obdarzony bogatą wiedzą i wielkiem doświadczeniem. W służbie jego znajdowali się najdzielniejsi żołnierze, a jako oficerowie synowie najdostojniejszych rodzin, których większość wzrosła w pracy dokoła spraw indyjskich. Skarbnikiem jego był Afonso Mexia, pisarz królewski, sekretarzem zaś Vicento Pegado, szlachcic, który podczas służby przemawiał do swego pana ze zgiętem kolanem. Vasco da Gama przywiózł też z ojczyzny bogate

zaopatrzenie dla magazynów, zwłaszcza wiele artylerji, moc błyszczącej broni, bogate zbroje i oręż, który podzielono między żołnierzy w Indjach. W świcie jego był Dom Anrique de Meneses, przeznaczony na naczelnika Goa; został on później gubernatorem Indyj. Dalej Lopo Vaz de Sampayo, przeznaczony na naczelnika Cochymu[94], później również gubernator Indyj; Pero Mascarenhas, który miał zostać naczelnikiem Malakki, a później również rządził Indjami; nadto Antonio da Silveira, Dom Fernando de Monroyo i Simão de Meneses, który miał zostać naczelnikiem Cananoru, Vincente Gil, agent okrętowy i poborca podatków, wreszcie pisarz jego Antonio Carvalho. Jeździli oni na małych statkach. Ruy Gonzalvez, naczelnik wojska w Indjach, Lopo Lobo, Christovão Rosado, Mosem Gaspar Homem, cudzoziemiec, znajdowali się w karaweli o łacińskich żaglach. Dom Fernando de Monroyo rozbił się, jak opiszę niżej, z okrętem swym na wybrzeżu Melindy. Mosem Gaspar, człowiek ograniczonego rozumu, nie mógł dać sobie rady z żeglarzami. Starszy majtek i pilot zabili go. Owładnęli oni statkiem i krążyli pod lekkiemi podmuchami na wybrzeżu wschodnio-afrykańskiem. Tam

schwytał ich Antonio da Miranda, który płynął z flotą przez te wody, przywiózł ich do Indyj i tu zostali wszyscy powieszeni. Wicekról przybył wkrótce do Mozambiku, gdzie zaopatrzył się we wszystko, co potrzebne. Stąd wysłał w karaweli Mozema Gaspara sługę z licznemi darami z Portugalji do króla Melindy.

Dodał do tego list, w którym zapewnia króla o swej wielkiej przyjaźni i przeprasza, iż nie przybywa osobiście; ale powierzono mu kierownictwo wielkiej floty, a czas nagli. W tej to podróży chciwy Gaspar, opuszczając Melindę, aby popłynąć dalej do Indyj został zabity.

Wicekról przybił do wybrzeża Indyj wpobliżu Dabulu[95]. Zanim jeszcze ujrzano ląd, morze stało się niezwykle niespokojne. Okręt ulegał potężnym uderzeniom, tak iż wszyscy sądzili, że natrafiono na mielizny. Żagle zostały zwinięte, i wśród krzyków i nawoływań oraz pod grzmotem dział spuszczono łodzie. Gdy Portugalczycy spuścili w zamieszaniu sondę, nie natrafili na grunt. Błagali Boga o łaskę; gdyż okręty były tak silnie miotane, że ludzie nie mogli ustać prosto, a skrzynie latały z jednego końca statku na drugi.

Drżenie rozpoczynało się gwałtownie, urywało się i zaczynało na nowo, za każdym razem w odstępie jednego ojczenasza. Trwało to mniej więcej godzinę. W trakcie tego morze wrzało gwałtownie, a wody piętrzyły się wysoko. W towarzystwie wicekróla znajdował się pewien nauczyciel medycyny i astrologji, który wyjaśnił, iż idzie tu o trzęsienie morza. Z nastaniem dnia Portugalczycy ujrzeli ląd. Ustaliwszy położenie popłynęli pod świeżym wiaterkiem do Chaulu[96], gdzie zarzucili kotwicę. Simão d'Andrade udał się natychmiast na powitanie statków. Wicekról przyjął go z wielkimi honorami i wręczył mu, podobnie jak wszystkim kapitanom okrętów, bogate dary; był bowiem bardzo hojny i wspaniałomyślny. Zgodnie ze wskazówkami króla zamianował wicekról Christovão do Sousa komendantem twierdzy. Wiele też innych dokonał nominacji, obsadzając niższe i wyższe stanowiska. Miał bowiem wszędzie, gdzie przybędzie, rozdawać urzędy, nie czekając na przybycie gubernatora Dom Duarte, którego pociągnąć miał do odpowiedzialności, gdyż król był nań bardzo niełaskaw z powodu jego wykroczeń. Wicekról wydał Christovão rozkaz na piśmie, aby w razie przybycia gubernatora

nie słuchał go w niczem i nie spełniał niczego, o czem będzie mógł przypuszczać, iż z jego rozporządzenia pochodzi. Wydawszy te zarządzenia w Chaulu, udał się wicekról do Goa. Miasto przygotowało mu uroczyste przyjęcie. Po pięknej przemowie zaniesiono go pod bogato zdobionym baldachimem do kościoła. W radosnym pochodzie odprowadzono go potem do twierdzy, której strzegł dobrze Francisco Pereira. Przywitał on wicekróla już na wybrzeżu i znajdował się teraz w jego orszaku. Wchodząc do twierdzy, odezwał się doń wicekról: „Senhor Francisco Pereira, pragnąłbym, aby wszystkie pańskie sprawy były w takim porządku, jak ten gmach". Miał bowiem przy sobie zapiski z oskarżeniami przeciw niemu, które doszły do króla. Już nazajutrz Dom Anrique de Meneses mianowany został komendantem twierdzy, ludzie zaś, widząc, że Francisco Pereira jest strącony, zjawili się u wicekróla z mnóstwem skarg na jego złe czyny. Wicekról kazał sobie wszystko napisać i przesłuchał wielu; miał bowiem polecenie występowania we wszelkich sprawach z największą sprawiedliwością. Skazał on Franciszka Pereirę na wysoką karę pieniężną i to bez

właściwego sądu, gdyż sam przesłuchał strony skazał go zaś tem bardziej, że już przez ścisłe dochodzenia dotarły do Portugalji wieści o nadużyciach Pereiry. Był on człowiekiem tak bezczelnym i tak źle obchodził się z ludźmi, że starszyzna miasta myślała już o rokoszu, byle pozbawić go władzy. Wystosowali więc długie pismo z licznemi uzasadnieniami, które to pismo wręczyć chcieli gubernatorowi, aby je przesłał do króla z prośbą o ukaranie komendanta twierdzy. Wymienione tam były haniebne rzeczy, które zasługiwały na surową karę. Pismo podpisane zostało przez 18 poważanych obywateli, właścicieli domów w Goa i zaopatrzone w nazwiska świadków. Protokół ten przedłożono biskupowi, Dom Martino. Podczas przyjazdu wicekróla był on chory i nie mógł dlatego wziąć udziału w przyjęciu. Stwierdził on, że fakty, podane w piśmie, polegały na prawdzie. Chciano więc aż do przybycia gubernatora uczynić biskupa komendantem. Ale cnotliwy biskup nie zgodził się na to i usiłował odwieść ich wogóle od wszelkiej akcji. Wówczas w malkontentów wstąpiło zwątpienie, iż mogą być zdradzeni, i dobrowolnie złożyli wszyscy na biblję w dłoni biskupa przysięgę milczenia, a każdy, ktoby

się dopuścił zdrady, miał być zabity przez współsprzysiężonych.

Gdy wszyscy oddalili się z domu, znalazł się jednakże Judasz, który wydał ich przed Pereirą. Komendant ukarał surowo tych, których schwytał: pozamykał ich do ciemnic, spustoszył ich majątki, kazał zburzyć ich domy i napiętnował ich jako zdrajców. Udał się nawet do domu biskupa, przemówił doń gwałtownemi słowami i nazwał dom jego jaskinią zdrajców. Majątki ich skonfiskował na rzecz króla, oddał je do faktorji i kazał zbudować za to szpital. Stoi on jeszcze przy bramie św. Katarzyny. Wicekról nie chciał nic słyszeć o tem, lecz rozkazał, aby Francisco Pereira zapłacił wszystko, czego oden żądają. Gdy ten usłyszał, iż jest skazany na tak wysoką karę jedynie za przysięgą oskarżycieli, rzekł do wicekróla: „Panie, chcą mię pozbawić majątku i żądają ode mnie więcej, niżeli jestem winien. Dlatego proszę Waszą Wysokość nie zaprzysięgać każdego zoddzielna, lecz abym mógł dobrowolnie zapłacić to, czego żądają. Wówczas każę ogłosić niezwłocznie, że każdy, kto chce pieniędzy od Franciszka Pereiry, może je sobie wziąć". Wicekról rozgniewał się bardzo i rzekł:

„Dlaczego nie byłeś sprawiedliwym, biorąc to, co ci się nie należało? Tak jak sprawy stoją, niedobrze jest, abyś doznał sprawiedliwości, gdyż sam nie przestrzegałeś jej. Aby uspokoić twe sumienie, każę ogłosić, że wszyscy, którym winien jesteś pieniądze lub mienie, mogą się zgłosić bez obawy, a będzie im zapłacone. O innych twoich przestępstwach słyszeć chce wówczas dopiero, gdy nadejdzie czas".

Wicekról polecił lekarzowi szpitala, aby nie przyjmował nikogo, chyba że będzie miał rany lub wrzody. Chorzy, którzy przybyli z okrętów, uskarżali się na to, a gdy to doniesiono Vasco da Gamie, kazał on im powiedzieć, że zna środek, który ich wszystkich odrazu uzdrowi. Polecił ogłosić, że w ciągu trzech dni wypłacane będą udziały z bogatego okrętu, który w drodze z Mekki schwytany został przezeń w Chaulu. Łup stanowił 100 000 xerafinów w złocie i 200 000 w towarach, nie licząc niewolników. Jako faktora i kierownika podziału ustanowił wicekról Fernana Martinsa Avangelho i Bastiana Luiza, pisarza listy marynarzy, który sprzedał wszystko. Cały łup podzielono na udziały. Wszyscy śpieszyli do podziału, nawet ze szpitali przybywali

ludzie, wicekról zaś rozkazał, aby ich nie przyjmowano zpowrotem. Był bowiem poinformowany o tem, że wielu ludziom udzielano w szpitalu przytułku z przyjaźni. Zabronił też przyjmowania do szpitala ludzi, którzy zostali zranieni w bójkach; swary powstawały bowiem tylko o kobiety, a szpital nie jest do pielęgnowania takich chorych. Dla załogi okrętów, przybijających do lądu, wydał on surowe przepisy. Ma ona być trzymana na pokładzie i tam zaopatrywana we wszystko. Naczelny rachmistrz Joâo do Soyro otrzymał nadzór nad okrętami w zatoce. Wicekról zarządził, aby wszyscy zapisywali się do rejestru w Cochymie. Ci, coby tego nie uczynili, nie otrzymają w przyszłości żołdu. W Chaulu wydał on podobne zarządzenia dla ludzi, którzy według list, wydawanych przez niego samego, pozostawali tam; podobnież w Goa. Aby nie wstrzymywać okrętów, zabronił wszelkiego wyładowywania. Powodowało to dla agentów żeglugi wielkie straty. Jako wynagrodzenie za to, pozostawiał im do dyspozycji statki królewskie na przejazd do Goa, baczył bowiem szczególnie, aby postępować sprawiedliwie. Wicekról wiedział, jakie trudności pociągała obecność kobiet na pokładzie. Sprowadzało to między marynarzy

niepokój i prowadziło do zwad i bijatyk. Pragnął więc zaradzić temu złu. Zanim więc rozwinął żagle w Belemie[97], ogłosił na lądzie i na pokładach statków — na pokładach przybito rozkaz u stóp masztów —, że każda kobieta, któraby poza Bolemem została znaleziona na pokładzie, zostanie publicznie wychłostana, bez względu na to, czy jest zamężna, czy nie. Mąż zaś będzie w więzach odesłany zpowrotem do Portugalji. Jeśli to będzie niewolnica lub branka, to ma być oddana jako okup za jeńców. Kapitan, któryby znalazł na swym okręcie kobietę i nie wydał jej, utraci przez to swe stanowisko. Wicekról kazał rachmistrzowi napisać tę proklamację. Gdy statki przybyły do Mozambiku, zameldowano mu o trzech przytrzymanych kobietach. Kazał je uwięzić, a tu w Goa wychłostać wszystkie trzy. Herold musiał przytem ogłosić: „W imieniu sprawiedliwości króla, pana naszego! Kobiety te muszą być wychłostane, gdyż nie uszanowały rozporządzenia królewskiego i mimo zakazu króla przybyły do Indyj."

Dostojnicy, biskup, mnisi i bracia miłosierdzia, usiłowali wyjednać dla nich łaskę; miłosierni ludzie ofiarowali jako wykup za

schwytane trzy tysiące pardaos[98]; ale wicekról nie słuchał nikogo. Gdy nazajutrz wyprowadzono kobiety za miasto w celu wykonania wyroku, przybyli bracia miłosierdzia i mnisi franciszkańscy z krzyżem, aby prosić za nie. Gdy Vasco da Gama dowiedział się o tem, kazał im powiedzieć, aby natychmiast odnieśli krucyfiks do ołtarza; wówczas dopiero wysłucha ich. Rozkaz jego spełniono niezwłocznie. Potem wicekról dopuścił ich przed siebie i oświadczył, że coś podobnego ma się nigdy nie powtórzyć. Iść bowiem z krucyfiksem przez ludne ulice do jego domu, wyglądało to na sprzysiężenie i chęć pokazania ludowi jego okrucieństwa i niemiłosierdzia. Na coś podobnego niechaj się nigdy nie ważą. Potem przemówiono doń poważnie, prosząc go o przebaczenie, jeśli bowiem uwolni te kobiety od kary za przekroczenie przepisów, pozyska sobie tem mężczyzn, którzy tem ochotniej słuchać będą potem jego rozkazów. Vasco da Gama zaklął się, że nic w świecie nie odwiedzie go od jak najsurowszego przestrzegania sprawiedliwości. Bez litości karać będzie wszystkich przestępców, którzy mu wpadną w ręce. Niechaj to sobie zapamiętają wszyscy ludzie, którzy podczas rządów jego dopuszczać

się chcą jakichkolwiek wykroczeń. Bez wyjątku ulegną oni surowej karze, a wicekról nie będzie znał łaski ani łagodności. Mężczyznom, którzy popełnią czyn występny, zabierze on cały majątek, odda go zaś w nagrodę tym, co wydadzą przestępcę w jego ręce. Zbrodniarzy każe zabijać. Może się zdarzyć, że ułaskawi kogoś za przestępstwa, popełnione dawniej, w żadnym jednak razie obecne wykroczenie nie może pozostać niepomszczone; nie należy więc spodziewać się po nim miłosierdzia, lecz najsurowszej sprawiedliwości. Tak więc rozkazał wychłostać kobiety. Podkreślił: na tym świecie chce on przestrzegać najsurowszej sprawiedliwości, aby na tamtym Pan był nań łaskaw gwoli jego zasług. Bóg wynagrodzi go za jego zasługi, gdyż całą siłą będzie on walczył ze złem. Zło, które wyrasta z człowieka w braku bojaźni Bożej, nie powinno się plenić. „Nic innego nie znajdziecie we mnie, jeno surowość i sprawiedliwość". Lud był jednak bardzo wzburzony losem kobiet. Nazwano wicekróla okrutnym człowiekiem. Ale siła, z jaką przeprowadzał on swą wolę, wzbudziła obawę przed nim i ostrożność. Niektóre z wykroczeń w Indjach zostały z drugiej strony wyplenione. Zwłaszcza poprawiła się

szlachta, która żyła w wielkiej rozwiązłości i miała wiele przestępstw na sumieniu.

Wicekról dbał gorliwie o dochody królewskie. Mawiał on, że ludzie przybywają zazwyczaj do Indyj zupełnie ubodzy i tam dopiero zbogacają się. On zaś chce spróbować zbogacić króla, bowiem największą zasługą narodu jest wspomagać swego pana. O bogatych urzędnikach królewskich wyrażał się on bardzo źle. Kto przychodził doń z dokumentem nominacyjnym króla, bywał starannie przesłuchiwany i przepytywany, zanim mu urząd powierzono. Jeśli nie mógł się dostatecznie wykazać jako zdatny do objęcia stanowiska, wicekról nie pozwalał mu go obejmować. Jeśli szło o urząd pisarza, zwykł on prosić kandydata, aby napisał coś w jego obecności. O ile badany nie okazał się dobrym pisarzem, nie otrzymywał urzędu. Gdyż, mawiał wicekról, jeśli ktoś stara się o urząd pisarza, a nie umie dobrze pisać, to chce on objąć posadę, aby wyrządzać zło. Tylko prawdziwie dzielnym ludziom dawał stanowiska. Oświadczył też, iż jako wynagrodzenie za okazane zasługi, nie może żadną miarą dawać stanowisk w zarządzie królewskim. Zasługi nagradzane muszą być łaską i zaszczytami, ale nie posadami,

przynoszącemi zyski. Ogłosił on też, że wszystkie osoby, które się dopuściły buntu lub uciekły przed poprzednią władzą, zostaną obdarzone przebaczeniem win, jeśli w ciągu trzech miesięcy powrócą do służby Boga i króla. Jeśli nie usłuchają tego nakazu, nigdy nie będzie im przebaczone, podobnie jak tym, co po jego przybyciu dopuścili się wykroczeń.

Dalej ogłosił wicekról, że pod grozą kary śmierci i utraty majątku nikt nie może się zajmować żeglugą bez pozwolenia. Właściciele okrętów winni zawierać umowy z faktorami królewskimi. Dopiero zawarcie umowy uprawnia ich do żeglugi; bez niej żeglować nie wolno. Jeśli ktoś jako urzędnik królewski, czy to sądowy, czy skarbowy, uprawiać będzie handel, to okręt jego i cały majątek przejdzie na własność króla, on zaś sam wygnanym będzie do Portugalji bez prawa powrotu kiedykolwiek do Indyj. Gdyż król sam potrzebuje dla siebie dochodów z handlu w Indjach, aby zdobyć stąd środki, do wynagrodzenia ludzi, którzy tu położyli zasługi. W innem ogłoszeniu podano do wiadomości, że każdy, kto nie chce pozostawać dłużej w Indjach, a nie jest nic dłużny królowi ani prawu, otrzyma pozwolenie na powrót do ojczyzny.

Wicekról kazał przeprowadzić surowe śledztwo nadużyć i kradzieży, jakich się dopuścili urzędnicy przy ściąganiu podatków, polecił ująć złoczyńców i zażądać od nich odpowiedzialności. Dalej ogłoszono także, że marynarzom wolno tylko w niedziele i święta, gdy się udają do kościoła, nosić płaszcze. Gdyby któryś nosił go kiedy indziej, płaszcz zabrany mu będzie przez policję, on zaś sam za karę zostanie na jeden dzień związany. Kto otrzymuje żołd jako zbrojny, musi stale nosić swą broń. Podobnież żołnierze lądowi karani będą za noszenie płaszcza, gdyż w płaszczach nie wyglądają jak żołnierze. Niewolnicy żołnierzy winni być silnymi chłopami, zdatnymi do wszelkiej pracy. Nie wolno trzymać na pokładzie statków królewskich niewolników, ubranych jak lalki. Dorośli niewolnicy, którzy oddadzą się na usługi marynarki, będą utrzymywani przez króla. Pod grozą kary śmierci i utraty majątku podano do wiadomości co następuje: Kto ma w swem posiadaniu jakiekolwiek części sprzętu artyleryjskiego króla, winien je niezwłocznie oddać do magazynów. Jeśli się to stanie w ciągu miesiąca, kara nie spotka go, nawet gdyby rzeczy te były gdzieś skradzione. Jeśli jednak nie spełni tego

w terminie, spotkają go najsurowsze kary. W ten sposób moc sprzętu artyleryjskiego, który za zgodą urzędników królewskich przeszedł w ręce kupców, powróciło do arsenału. Urzędnicy sprzedawali to chętnie, a król tracił proch i kule, za które płacono urzędnikom.

Wicekról wydał wiele takich zarządzeń i w ten sposób sprowadzał wszystko na właściwe tory. Na nowym okręcie udał się on do Cochymu. Zebrał niewiele sług, którzy nie byli szlachcicami. Szlachty wyzbywał się on chętnie i wolał marynarzy indyjskich, którzy byli dobrymi żołnierzami. Sześć fust towarzyszyło mu wzdłuż wybrzeża. Zapuszczał się on zazwyczaj w ujścia rzek, aby poznać bliżej okolicę. Dom Anrique otrzymał rozkaz za przybyciem gubernatora zabronić mu wylądowania i w niczem go nie słuchać. Gdy wicekról jeździł tak wzdłuż wybrzeża, stwierdził, że paraos[99] z Calicutu miały faktorje nad rzekami Mangalor i Bacanor. Te sprzedawały zdobywane łupy i nabywały za to ryż, który przewożono do Calicutu. Wicekról kazał objąć w posiadanie brzegi rzek i ustanowił tam Jeronymo de Sousa i Manuela de Macedo. Pozostawił im dla ochrony żaglowce. Paraos dowiedziały się, że wicekról przybył do Goa i uciekły wszystkie do Calicutu.

W Cananorze został wicekról przyjęty należycie i wśród wielkiego ceremonjału i przepychu miał spotkanie z tubylczym królem. Ten rad był bardzo ujrzeć go, gdyż Vasco da Gama znanym mu już był z opowiadań o odkryciu Indyj. Wręczył mu bogato ozdobiony klejnotami łańcuch, wicekról zaś jako swój dar ofiarował mu sztukę jedwabiu z Portugalji. Obaj zawarli serdeczną przyjaźń. Trzy dni zatrzymał się tu Vasco da Gama. Dom Simâo de Meneses postawiony został na czele statku banderowego, gdyż czas Joâo de Silveiry minął już. Ten odjechał i przybył do Calicutu w nocy, gdyż dowiedział się, że wybuchło tam powstanie. Ale wszędzie było spokojnie, a tubylcy znajdowali się na wybrzeżu z naszymi ludźmi i sprzedawali przy bramie twierdzy prowiant.

2. Działalność Vasco da Gamy w Indjach.

Gdy wieść o przybyciu wicekróla rozniosła się w Cochymie, udał się doktór Pero Nunes, zarządca skarbu, w ustrojonej łodzi na morze, aby — jeśli wicekról zechce — przewieźć go na ląd. Ponieważ wiał słaby

wiaterek, wicekról przybył tylko do Cranganoru[100], gdzie spotkał się z zarządcą skarbu. Vasco da Gama przyjął go z wielkiemi honorami, gdyż został on mu przez króla gorąco polecony. Przez cały czas swej służby — trwała ona sześć lat — wykazał on niezwykle dobre usługi. Dostarczył wiele bardzo dobrego pieprzu, który utracił tylko 7 czy 8 % wagi podczas badania w Portugalji, gdy inny pieprz tracił 30—40 %, ponieważ był wilgotny, zielony i zmieszany z piaskiem i kamykami. Faktorje specjalnie mieszały pieprz z pyłem. Ciągnęły bowiem z tego zyski. Mąż ten pozostał u wicekróla całą noc i zdał mu długi raport o gubernatorze i stosunkach w całych Indjach.

Dom Luis[101] leżał z okrętem swym poza ławicą. Podczas tej zimy wyporządził on swój statek; był on zaopatrzony w ciężką artylerję i bogato ozdobiony flagami. Nazajutrz załadował się on z wieloma szlachcicami, zaopatrzył się w zapasy żywności i udał się na poszukiwanie wicekróla, który wskutek przeciwnych wiatrów lądowych pozostał na morzu. Na widok okrętu wicekróla, kazał oddać mu należne powitanie flagą komendanta. Wicekról, który tymczasem nadpłynął ze

swym okrętem z Cananoru, kazał odpowiedzieć na powitanie bębnami i trąbami. Dom Luis wsiadł ze swymi szlachcicami do łodzi i popłynął do statku Vasco da Gamy. Wicekról przyjął go serdecznemi uściskami i powitaniami. Dom Luis skłonił się głęboko. Potem zasiedli na tylnym pokładzie w przygotowanych krzesłach, i wicekról przyjął powitania szlachciców, towarzyszących Dom Luisowi. Wicekról uwolnił zarządcę skarbu, który udał się zpowrotem na ląd. Powiadomił on wicekróla o zaletach Dom Luisa i nadmienił szczególnie, jak ganił on błędy gubernatora. Dlatego nie znajdował się z gubernatorem w dobrych stosunkach. Król był już o tem w Portugalji powiadomiony i polecił Vasco da Gamie okazywać Dom Luisowi największe honory.

Dom Luis pozostał u wicekróla. Rozmawiali o pilnych sprawach i o podróży, aż wiatr umożliwił wyruszenie do Cochymu. O zachodzie słońca przybyli do wybrzeża. Okręt Vicente Gila leżał również przy brzegu. Ten, jako kupiec, myślał tylko o swym zysku. W nocy odłączył się od innych okrętów i popłynął do Cochymu. Tam sprzedał swe towary i zarobił ładny kawał grosza, co uszłoby

mu, gdyby rozwinął żagle do Goa. Wicekról był tem bardzo rozgniewany i nałożył nań wielką karę, gdyż wszystkim kapitanom wzbronione było surowo oddalać się od floty.

Po przybyciu na miejsce Dom Luis poprosił o urlop i udał się do swego sterowca, który leżał w przyzwoitej odległości od okrętu wicekróla. Okręt wicekróla oddał wiele strzałów artyleryjskich; cała flota odpowiedziała, nakoniec także karawele. Był to cudowny widok, zwłaszcza iż było już ciemno, a ogień armat oświetlał statki. Strzał jednej z karawel wskutek nieuwagi trafił inny statek i zabił dwóch ludzi. Gdy wszyscy oddali strzały, Dom Luis kázał strzelać z ciężkich dział. Było ich 32. Dom Luis kazał oddać zgórą 100 strzałów i przewyższył tem wszystkich. Wicekról był bardzo rad z widoku tak dobrze uzbrojonego sterowca.

Wicekról przenocował na swym okręcie. Nazajutrz król kazał odwiedzić go przez jednego z ministrów. Dom Luis udał się na ląd, aby przygotować z urzędnikiem przyjęcie Vasco da Gamy.

Wszystko przyszykowano na następny dzień. Dom Luis miał przywieźć wicekróla. Użyto do tego celu zbudowanej przezeń galery,

obsługiwanej przez niewolników króla, którzy byli wyjątkowo dobrymi wioślarzami. Tył statku wybito suto suknem. Tam ustawili się szlachcice, a pięknie nakryty stół zapraszał wicekróla do posiłku. Z Dom Luisem przybył Dom Diogo de Lima, komendant twierdzy, który gdy tylko przybył do okrętu wicekróla, kazał oddać strzały wiwatowe. I on przyjęty został nader łaskawie. Gdy Dom Luis oznajmił, iż przybył, aby odwieźć wicekróla na ląd, ten począł się od tego uchylać. Powiedział, że chce jechać na ląd tylko własną łodzią, która jest już gotowa. Była ona przystrojona chorągwiami; sztandar króla z białego adamaszku, na którym widniały po obu stronach krzyże chrystusowe z czerwonego jedwabiu, bogato zdobione złotem, powiewał już na maszcie. Straż przyboczna towarzyszyła panu w dwóch łodziach; piki jej były do połowy złocone, a ludzie ubrani byli bogato. W innej łodzi jechali główny rachmistrz, konstabl i ludzie z pałkami policyjnemi i lancami. Kapitanowie jechali każdy we własnej łodzi w otoczeniu swych bogato odzianych ludzi. Gdy wicekról wszedł do łodzi, zasiadł na fotelu, zaś Dom Luis tuż obok niego na drugim. Dom Luis mówił grzeczne słówka i nie

chciał usiąść. Ale wicekról posadził go przy sobie i rzekł: „Siadaj pan tylko, Wasza Miłości, zasługuje pan na większe zaszczyty, a przez swe chwalebne czyny i wielką wiedzę zdobył pan sobie uznanie króla, mego pana. Gdyż zrobił pan więcej, niżeli brat pański, gubernator, który splamił w Indjach swą sławę, zdobytą przedtem w Afryce licznemi czynami. Za wszystko, co uczynił pan przez swą wspaniałą działalność, spotka pana wielka wdzięczność Jego Królewskiej Mości". Gdy wicekról pochwalił go tak wobec wszystkich, Dom Luis zdjął beret i rzekł: „Całuję ręce Waszej Wysokości za tyle zaszczytu! Jeśli jednak mam jakieś zasługi i przymioty, to zawdzięczam je łasce, jaką mi okazał Jego Wysokość król. Jeśli król nie jest zadowolony z brata mego, gubernatora, żadna radość nie zrównoważy bólu, jaki mi to sprawia; jest to bowiem największa zgryzota, jaka mię może spotkać, a część tej niesławy przylgnie i do mnie". Na to odparł wicekról: „Przeciwnie, pomnoży to tylko pańską sławę". Tak rozmawiali sobie, aż przybili do brzegu naprzeciw kościoła. Vereadores[102] przyjęli go z przepysznym baldachimem i powitali długą przemową. Wraz z duchowieństwem udano się do kościoła na

nabożeństwo. Na przodzie niesiono krzyż, wzniesiony wysoko. Oznajmiono wicekrólowi, iż król Cochymu pragnie przybyć. Po skończonem nabożeństwie wicekról stanął u wrót kościelnych, oczekując króla. Gdy nadszedł, wicekról wyszedł na ulicę, aby go przyjąć. Skoro tylko król ujrzał go, zsiadł ze słonia i kilkakrotnie uściskał wicekróla, a i ten powitał króla nader grzecznie. Po powitaniu obaj weszli pod portal kościoła, zachowując się w tej obszernej sali, jak przyjęto przy takich odwiedzinach. Potem król pożegnał się i odjechał na swym słoniu. Wicekról udał się do twierdzy, gdzie zamierzał zamieszkać. Przy bramie podziękował Dom Luisowi za przyjęcie. Ten bawił prawie cały czas przy wicekrólu, towarzyszył mu do kościoła i opuścił go dopiero, gdy odciągnęły go jego sprawy. Te zajęły go bardzo. Zaledwie dozwalał on sobie spoczynku, nie sypiał po obiedzie, a ciągle miało się doń dostęp. Rano i wieczorem udawał się na brzeg i zwiedzał składy oraz zachęcał do pośpiechu przy wyładowaniu okrętów. Wicekról kazał wtrącić Wincentego Gila do więzienia, zato że pojechał przed nim do Cochymu; nadto musiał on zapłacić 300 cruzado, zaś właściciel okrętu

i pilot po 100, które wicekról wręczył przełożonomu braci miłosierdzia na szpital.

Gdy wicekról wyruszył wzdłuż wybrzeża, pozostawił wartę nad rzekami Mangalor i Bacanor. Diogo Martins de Lemos wysłany został w galeocie[103] na obserwację rzeki Mangieirâo za górą Dely, gdyż wicekrólowi było wiadomo, że statki wojenne i tam miały miejsce postoju i zaopatrywały się w prowiant. Posiadał on też cztery fusty, prócz tych, które zostały schwytane w Dabulu i które mu przysłał Dom Anrique z Goa. Wicekról nosił się poważnie z zamiarem stoczenia walki o panowanie nad ujściami rzek wybrzeża indyjskiego, gdy tylko wyprawi okręty do Portugalji. Kazał więc sprowadzić do Cochymu cztery nowe catury[104], zbudowane na rzece Culymutis. Były one zbudowane szpiczasto, aby płynęły szybko, i wszyscy chwalili je bardzo. Wicekról kazał spalić te catury; chciał dać przez to do zrozumienia Maurom, że ludzie jego potrafią zbudować lepsze. Kazał zawołać mistrza Vyne, Genueńczyka, którego zabrał specjalnie do budowy galer, i zapytał go, czy zbuduje okręty wojenne, które będą płynęły szybciej, niż statki malabarskie. Ten odparł: „Panie, zbuduję

wam brygantyny[105], które schwytać mogą muchę.“ Zabrał się zaraz do roboty i zbudował dwie brygantyny w ciągu dwudziestu dni. Wówczas wicekról ogłosił, iż każdemu Portugalczykowi, który zaofiaruje się do służby na tych brygantynach, da strawę i żołd miesięczny. Nadto załoga otrzymać ma w udziale wszelkie dobra na pokładzie statków, które prześcignie w wiosłowaniu. Dalej mieli mieć podwójny udział w łupach, zdobytych przez inne statki, a latem i zimą wolni będą od wszelkiej innej służby, aby mogli poświęcić się wyłącznie swym brygantynom. Na tę propozycję zgłosiło się tylu marynarzy i chłopców okrętowych, że był ich nadmiar. Każdy z wioślarzy miał pod siedzeniem napierśnik, hełm stalowy, lancę, tarczę i dwa naczynia z prochem. Ujrzawszy łup, wdzieją zbroje i włożą połyskujące zdaleka hełmy. Gdy dogonią łup, odrzucą wiosła, chwycą oszczepy, tarcze i puszki z prochem, które rzucą na obcy okręt, i mogą w 30 ludzi, silnych i zbrojnych, dokonać wszystkiego. W ten sposób nie ujdzie im żaden okręt, ani przez wiosła, ani przez żagle, ani w walce.

Wicekról sam był przychylny ludziom walecznym. Idąc do walki, mawiał, że tych

tylko ludzi uczyni oficerami, którzy odznaczyli się na wojnie jako dzielni żołnierze. Zaszczyty wojskowe tych tylko winny spotykać, którzy dzięki odwadze swej wygrali bitwę, a najniższemu z nich okaże więcej honorów, niż żydowskiemu szlachcicowi. Mówił to wicekról zupełnie otwarcie, gdyż taki był jego zwyczaj. Dodawał też, że komu to nie odpowiada, temu pozwala wracać do Portugalji i używać tam wszystkiego, co zdobyli jego ojcowie. Wzbudzał on we wszystkich wielką obawę, zwłaszcza w komendantach twierdz. Gdy spostrzegł jakieś wykroczenie, kazał karać i tracić winnego. Jeśli zaś zostawiał go przy życiu, to posyłał go do króla wraz z wykazem jego przewinień. Jeśli bowiem najwyżsi oficerowie i urzędnicy nie są nic warci, to i inni urzędnicy twierdz, sądownictwa i zarządu nie będą lepsi, a wszyscy razem szkodzą ludowi. Złe czyny Maurów pochodzą zresztą z rozbojów, jakich dopuszczali się na nich przełożeni. Nikt nie może pod rządami jego ujść do Portugalji, aby uciec przed winami, jakich dopuścił się w Indjach. Jeśli bowiem karać będzie wielkich, będą oni pilnowali małych. Jeśli ktoś zostanie przez poważanego człowieka skrzywdzony, potraktowany niesprawiedliwie lub oczerniony, to

winowajca będzie surowo ukarany. Wicekról nie potrzebował więc szlachty do wojny, lecz jako pomocy, a gdy ktoś zawinił, zastępowany został przez innego. Jeśli szlachcic udzieli przestępcy ochrony i opieki, gdy ten szuka w domu jego ucieczki, i nie wyda go natychmiast w ręce sprawiedliwości, zostanie w kajdanach odesłany do króla, jako obrońca przestępców. Jeśli zaś ktoś dopomoże przestępcy do ucieczki, to spotka go kara, która czekała winnego. Wicekról ogłosił, że jeśli urzędnik dopuści się niesprawiedliwości, to kary cywilne zostaną mu zamienione na kryminalne. Tak więc we wszystkiem okazywał się on jako surowy sługa w służbie króla, w służbie ludu, w służbie Boga i całych Indyj. Komendantem Cochymu uczynił Lopo Vaza de Sampayo, który był już na to stanowisko upatrzony. Dom Diogo de Lima skończył swą służbę. Ponieważ był ubogi, wicekról dał mu okręt, którym miał pojechać do Ormuzu, aby zarabiać na siebie. Bowiem komendanci Cochymu i Goa, którzy byli stale pod okiem gubernatora, nie mogli zdobywać sobie w ukryciu takich dochodów, jak zwierzchnicy innych twierdz, do których gubernatorowi trudniej było dotrzeć.

Dom Luis był zły, że król Portugalji otrzymał skargi przeciw jego bratu, gubernatorowi, wiedział zaś z listów, że wicekról poweźmie przeciw niemu ostre środki. Że wicekról postąpi bezwzględnie i surowo, na to wskazywały już jego zarządzenia w Chaulu i Goa, jeszcze przed złożeniem gubernatora z urzędu i bez dania mu możności wytłumaczenia się. Dom Luis był bardzo ostrożny, chciał jednak wyjaśnić tę sprawę. Jeśli to możliwe, pragnął usposobić wicekróla łagodniej. Z tym zamiarem odwiedził go i sprowadził rozmowę na sprawę brata. Starał się przedstawić ją, jako znacznie mniej niebezpieczną, aby skłonić wicekróla do nie tak surowego postępowania. Ale wicekról spostrzegł ten zamiar i mówił ciągle o niezwykłych zaletach najsurowszej sprawiedliwości, dając tem do zrozumienia, że i on będzie się jej trzymał. Oznajmił, iż posiada władzę sądu nad wszelkiem przestępstwem i nad każdym na wschód od przylądka Dobrej Nadziei, że nie potrzebuje wysyłać przestępców do Portugalji, aby ich król osądził, ba, że nad samymi braćmi królewskimi sprawowałby sądy, gdyby byli w Indjach. Dom Luis strapił się tą odpowiedzią bardzo, poznał bowiem, że król spełni we wszystkiem wolę wicekróla.

Wicekról kazał jak najśpieszniej załadować okręty. Do Ceylonu posłał dwa statki z magazynów po cynamon. Zarządca skarbu specjalnie je na ten cel zakupił. Były one bardzo dobrze zaopatrzone i uzbrojone, posiadały sterników i pilotów i oddawały królowi wielkie usługi. Z jednym z tych okrętów pojechał Duarte de Mello, mianowany przez wicekróla komendantem Ceylonu. Zarazem odwołany został Fernan Gomes de Lemos, o którym były złe wieści i którego czas służby skończył się. Pod karą śmierci zabroniono mu po drodze z Ceylonu do Cochymu wysiadać gdziekolwiek.

3. Spór Vasco da Gamy z jego poprzednikiem.

Gubernator Dom Duarte de Meneses zrobił z zabranemi do Ormuzu towarami dobre interesa. Pośrednicy oddawali je kupcom tylko po wysokiej cenie i żądali natychmiastowej zapłaty. Do tego dochodziły jeszcze podarunki i ofiary, które Resxarafo[106] zbierał od ludu i dawał gubernatorowi, aby był w dobrem usposobieniu. Pewnego dnia podczas jego pobytu w Ormuzie przybył tam niejaki Joan

Golzalves z listami od Dom Rodriga, który zatrzymał się w kraju arcykapłana[107]. W liście tym prosił on gubernatora pilnie o okręt. Kilka osób — Dom Luis i Hector da Silveira — było w porcie Masowah[108], ale nie zabrały jego ani jego ludzi, gdyż gwoli większego bezpieczeństwa i na rozkaz arcykapłana zatrzymali się w pewnej odległości od morza. Oni sami pobiegli wprawdzie na wieść o przybyciu okrętów jak najszybciej do morza, ale nie przybyli jednak na czas na brzeg, gdzie ich oczekiwano. Kapitanowie odjechali więc, nie czekając na nich dłużej. Okręty odbyły zatem podróż daremnie i sprawiły królowi wielkie koszta. Aby się to raz jeszcze nie zdarzyło, lub aby przy ważniejszych sprawach nie zapomniano ich w Indjach, błagają wszyscy, aby sobie o nich jednak, na miłość Boga, przypomnieć i przysłać im okręt. Należy wydać ostry zakaz, aby okręt ten nie zatrzymywał się w drodze zbytecznie i w marcu, a jeśli to możliwe, wcześniej jeszcze przybył do Masowah. Dom Rodrigo powierzył list ten Joanowi Gonzalves, gdyż ten znał wiele języków. Przebrany za Maura wsiadł on z towarami w towarzystwie kupców na żaglowiec maurytański, który rozbił się na wybrzeżu Farteque

w Badalcurji[109]. On sam zdołał się uratować i wraz z innymi Maurami, którzy wyszli cało z rozbicia, dotarł żebrząc do Mekki, a stamtąd do Ormuzu. Gubernator okazał mu cześć dla doznanych trudów i niebezpieczeństw.

Gdy gubernator załatwił swe interesa i przedsięwziął konieczne środki, opuścił Ormuz i popłynął do Maskatu. Stąd pożeglował do Indji, w okolicy Dio (Diu). Tam flota czekała kilka dni na okręty z Mekki, które nie przybyły jednak. Popłynął więc dalej, minął Dio w nocy i skierował się do Chaulu. Tam zastał Christovâo de Sousa jako komendanta. Ten wysłał mu natychmiast wodę i posła z wieścią, iż chętnie służy mu, jeśli czegoś zapragnie, że jednak jako gubernatorowi nie może mu być posłuszny, gdyż byłoby to przeciwne rozkazom wicekróla. Prosił go też, aby nie lądował, lecz udał się do wicekróla. Wobec tego Dom Duarte kazał tylko uzupełnić środki żywności i popłynął dalej do Goa. Komendant Dom Anrique posłał mu takiegoż gońca. Hector da Silveira wysiadł na ląd, aby powitać Dom Anrique'a. Ten prosił go, aby nikogo z załogi nie puszczał na ląd, lecz zawiózł wszystkich do Cochymu. Taki rozkaz pozostawił wicekról. Dom Duarte pozostał

przy wybrzeżu sześć dni i załatwił swe sprawy. Potem popłynął dalej do Baticali[110]. Tam zatrzymał się znowu, zakupił rzeczy, które chciał zabrać do ojczyzny i inne, na drogę. Hector da Silveira zauważył, że gubernator rozmyślnie przeciągał podróż. Zdawało się, iż chce on przybyć do Cochymu wówczas dopiero, gdy okręty będą już załadowane, aby ze swej strony natychmiast wsiąść na okręt i popłynąć do Portugalji. Zwierzył się też gubernator, iż nie wda się z wicekrólem w spór, gdyby ten usiłował doprowadzić do tego, gdyż wicekról działał tak bezwzględnie i przejął zarząd Indyj, zanim on mu go oddał. Gdy Hector da Silveira dowiedział się tego wszystkiego, poprosił o urlop do Cochymu. Gubernator nie chciał mu go udzielić. Hector da Silveira ponowił swą prośbę i dodał, że nie uważa za mądre tak w całym spokoju załatwiać interesa, mając przy sobie całą flotę z załogą i zjadając zapasy królewskie. Spierano się o to, ale wreszcie Dom Duarte dał mu pozwolenie na odjazd. Posłał z nim też całą flotę i zatrzymał tylko pięć galer i trochę marynarzy. Hector da Silveira przybył z flotą do Cochymu i wpłynął na rzekę. Za przybyciem kazał oddać z armat wystrzały powitalne

i udał się natychmiast z całą załogą na ląd do kościoła, aby złożyć modły dziękczynne. Potem odszukał w twierdzy wicekróla, który przyjął go z wielkiemi honorami. Zdał on długi raport o podróży i pokoju, zawartym z Adenem[111]. Wicekról pochwalił jego postępowanie; błędem jest jedynie, że pozostawił tam tylko jedną brygantynę z załogą. Nie należy ufać królowi Adenu, chociaż dał on koronę wartości 2000 xerafinów. Właśnie to mogło być podstępem. Pokój zawarł on może dlatego tylko, aby uratować okręty, leżące w porcie. Gdyby Silveira zażądał 10000 xerafinów, otrzymałby je, a do tego jeszcze 10 koron. On i jego kapitanowie, którzy mu radzili, byli łudzeni. Hector da Silveira szybko skierował rozmowę na inny temat, widząc, iż wicekról jest zły o rzecz, w której on sądził, że postąpił bardzo mądrze. Obawiał się, iż wicekról będzie jeszcze bardziej zły, gdy się dowie, że działał on bez uprzedniej narady z kapitanami. Cała sprawa była dlań niezmiernie przykra i z nikim o tem nie mówił. Ale przebywał wiele w towarzystwie wicekróla. Ten nie mógł wprost wyjść z domu, ciągle spotykał Silveirę z mnóstwem ludzi. Gdyż i Silveira, jak Dom Luis, prowadzi

rozległy dom, gdzie spotykały sią całe Indje. Przy stole wicekróla nie jadało tylu ludzi.

Wicekról był bardzo zajęty przygotowaniami do ładowania, naprawą floty i okrętów przyprowadzonych przez Hectora da Silveirę. Zarazem kazał zbudować flotyllę, gdy tylko bowiem odjadą okręty do ojczyzny, zamierzał zburzyć Calicut i pozostałe wybrzeże Indyj, żaden zaś Maur nie miał tu pozostać na lądzie ani morzu. Te plany, a nadto stosunki w Indjach, które zastał nie tak, jak się spodziewał, nadewszystko zaś sprawa gubernatora Dom Duarte, skłoniły go do wysłania przed innemi okrętami statku z listami do króla, a to natychmiast, gdy zobaczy się z Dom Duarte. Ten przybył do Cochymu w listopadzie.

Gdy Dom Duarte przyjechał, wicekról wysłał doń Lopo Vaza de Sampayo, komendanta Cochymu, i Pero Barreto, którego mianował jako głównego rachmistrza na miejsce chorego João do Soyro. Dom Duarte otrzymał rozkaz nie wychodzenia na ląd, lecz natychmiastowego udania się na okręt Castello. Ma on jako więzień jechać do Portugalji i dać słowo honoru, że opuści okręt dopiero w Lizbonie, gdy król przyśle mu rozkazy.

Ma się sam udać na pokład okrętu, a gdy się tam znajdzie, podpisać własnoręcznie honorowe zobowiązanie. Wicekról posłał gubernatorowi odpis swych poleceń.

Obaj panowie udali się na pokład galery gubernatora, a Lopo Vaz powtórzył mu poselstwo. Dom Duarte uczuł się tem bardzo dotknięty i rzekł: „Nie powinniście być gońcem takiego poselstwa! Komisarz sądowy. którego przyprowadziliście, jak się zdaje, dla wykonania rozkazu, wystarczyłby i byłby właściwszą osobą. Powinniście przypomnieć sobie, że ojciec mój pasował was na rycerza i dlatego nie powinniście postępować wbrew jego interesom!“ Lopo Vaz odparł, iż jeśli król, pan nasz, rozkaże, to wystąpi przeciw własnemu ojcu, ba, zabiłby go, gdyby mu rozkazano. Pomijając rozkazy króla, zawsze postępować będzie tak, jak mu nakazuje honor. Dlatego radzi Dom Duarte odpowiadać i poddać się rozkazom, które przynosi w imieniu króla. Na to odparł Dom Duarte, iż będzie we wszelkich sprawach posłuszny. Jedynie co do wyboru okrętu, to ma on rozkazy w innym sensie, które orzekają, iż w razie powrotu do ojczyzny przysługuje mu prawo wybrać sobie do podróży którykolwiek ze znajdujących się

tu okrętów. Ponieważ król nie odwołał tego zarządzenia, musi mu być i wicekról posłusznym i nie może w ten sposób zaostrzać kary. Na statku, na który zamierza on wsiąść, podpisze też zobowiązanie, którego król wymaga odeń. Z tem odpuścił Dom Duarte posłów, którzy udali się do wicekróla, aby powtórzyć mu tę odpowiedź. Zaś Dom Duarte wsiadł do łodzi i obejrzał wszystkie ładujące się okręty. Najbardziej odpowiadał mu San Jorge. Pozostał więc na nim i kazał znieść tu z galery swe rzeczy.

Lopo Vas powtórzył wicekrólowi odpowiedź gubernatora. Vasco da Gama rozsierdził się niebywale. Ponieważ była już godzina późna, zaczekał do następnego rana z wydaniem dalszych rozkazów. Gdy mu jednak nieco później doniesiono, że Dom Duarte przeniósł się ze swemi rzeczami na San Jorge, stracił resztę cierpliwości. Zaraz rano posłał rachmistrza do Dom Duarte i kazał mu powiedzieć, aby nie narażał się na większe jeszcze opały, niż te, w których się już znajduje. Rozporządzenie co do jego powrotu byłoby ważne, gdyby wracał on na wolności. Ponieważ jednak jest więźniem, ma się niezwłocznie udać na Castello, który wicekról

wskazał mu jako więzienie, a nie na inny okręt. Natychmiast spełnić ma ten rozkaz i udać się na pokład tego statku. Jeśli zaś nie usłucha rozkazu królewskiego, to on zastosuje środki, jakie uzna za stosowne. Dom Duarte kazał odpowiedzieć, że Vasco da Gama może robić, co chce, a jeśli uzna za wskazane użyć siły, to i to może uczynić, gdyż ma przecież siłę. Odpowiedź ta w najwyższym stopniu podnieciła wicekróla, który zawołał: „Dom Duarte obrał złą drogę, aby mi się przeciwstawić. Powiększy tem jeszcze swoje nieszczęście. Jeśli nawet postąpiłem nierozumnie, z jego strony mądrze byłoby usłuchać mnie. Jeśli nie zegnie swego dumnego karku, usłyszy o mnie!“

Wydał natychmiast rozkaz naczelnemu nadzorcy statków, aby wyszykował dwie galery bez rej i lin. W nocy mają one być uzbrojone w artylerję, a nazajutrz rano wyjechać z rzeki, jakby miały odjeżdżać. Do statków tych posłał wicekról dowódcę konstablów i głównego rachmistrza i rozkazał im zarzucić kotwicę po obu stronach statku, na którym znajduje się Dom Duarte, wpobliżu przodu. Następnie rachmistrz w towarzystwie dwóch notarjuszy popłynąć ma wzdłuż statku

i z zewnątrz zażądać od Dom Duarte, aby wyszedł natychmiast i udał się na pokład statku Castello. Jeśli nie usłucha on rozkazu, notarjusze mają sporządzić o zajściu tem protokół i kazać go potwierdzić przez świadków. Żądanie ma być powtórzone trzy razy. Jeśli i wówczas nie usłucha, należy wezwać załogę do opuszczenia statku, gdyż będzie on zatopiony. Następnie należy powrócić do galer i strzałami artyleryjskiemi zatopić statek. Audytor i dowódca muszą przysiąc, iż to uczynią, a wicekról daje im do tego pełnomocnictwo.

Gdy Dom Luis usłyszał o tych zajściach, udał się do wicekróla i prosił go gorąco, aby okazał mu jednakże tę łaskę i nie postępował tak surowo z jego bratem. Przecież nie sprzedał on twierdzy królewskiej. Jeśli sprawa prowadzona jest z taką zaciekłością, wygląda to raczej na akt zemsty, niż na uzasadnione postępowanie karne. Wicekról odparł mu z największą łaskawością, jak zwykle przemawiał do niego: „Dom Luis, gdyby brat pański sprzedawał twierdze, nie nosiłby już głowy na karku. Gdyż kazałbym mu ją ściąć, a pan nie przemawiałby tak do mnie. Brat pański nie obraził mnie też, abym go

miał nienawidzieć i być dlań surowszym, niż powinienem. Nie powinien mi pan robić zarzutów! Jeśli bowiem popełniam błąd, to ten chyba, że nie postępuję tak surowo, jak należy. Czynię zaś to dlatego, że jestem panu oddany, zaś król nasz jest pańskim przyjacielem. Bratu pańskiemu i panu daję na przyszłość przyjacielską radę, abyście najściślej spełniali rozkazy króla, dotąd bowiem brat pański w zarządzie Indjami tak mało przywiązywał do tego wagi, że to hańba dla Portugalji. Jeśli podda się on rozumnie zarządzeniom, wszystko będzie dobrze. To, co rozkazuję, to polecenia króla. Jeśli ich będzie słuchał, może będę mógł zrobić dlań więcej, niż on sam. Powiem to panu otwarcie — nie aby mi pan dziękował za to —, że ze względu na pana zarządzenia moje są łagodniejsze, niż mi król rozkazał. Chętnie dowiodę tego panu". Dom Luis odpowiedział wicekrólowi nie tak życzliwie, jak ten oczekiwał. Powstał tak gwałtowny spór, że wicekról zerwał się, ruszył ku drzwiom i rzekł: „Idź pan w pokoju, Dom Luis. Ja ze swej strony nie ukrywałem prawdy, ale panu trudno jest uwierzyć mi. Sądzi pan, że ma rację i że ja tylko postępuję błędnie. Jest pan niewdzięczny

za to, co mogłem uczynić". Dom Luis chciał mówić, ale wicekról zdjął beret i rzekł: „Zrób mi pan tę łaskę, panie, i dajmy pokój na dzisiaj!" Poczem odwrócił się doń plecami. To poderwało zupełnie Dom Luisa, który zawołał: „Nie chce mnie pan wysłuchać! Ufam w Bogu, że nadejdzie czas, gdy ja nie będę chciał pana wysłuchać! Idę do mego brata, a co się z nim stanie, niech i mnie spotka!" Mówiąc to, szedł Dom Luis przez salę, gdzie słyszeć go mogło wielu. Udał się do swego domu, a wszyscy, którzy jadali u niego, towarzyszyli mu.

Te słowa Dom Luisa powtórzono wicekrólowi, który rozsierdził się bardzo. Rozkazał on komendantowi twierdzy, Lopo Vazowi de Sampayo, aby natychmiast zawiózł Dom Luisowi rozkaz, by wsiadł na okręt i ani chwili dłużej nie pozostawał na lądzie. Nikt nie ma mu towarzyszyć, a on, wicekról, będzie czekał przy oknie aż Dom Luis wejdzie na pokład. Lopo Vaz de Sampayo pośpieszył do Dom Luisa, którego zastał w towarzystwie licznych gości przy obiedzie. Na widok Lopo Vaza podniósł się on. Lopo Vaz stanął w drzwiach, ale nie wszedł, tylko zawołał: „Dom Luis, wicekról rozkazuje wam pójść zaraz ze mną

i wsiąść na okręt. Czeka przy oknie, aż będziecie na pokładzie". Dom Luis zaśmiał się głośno i rzekł: „Dziwię się, że nie przysyła biliguinów, którzyby mię zabrali. Rozkaz jego będzie spełniony". Kazał sobie przynieść płaszcz i zwrócił się do gości: „Moi panowie, ponieważ nie pozwalają nam jeść spokojnie, dałem rozkaz odniesienia jedzenia, aby się nie zepsuło". Ze łzami w oczach dodał jeszcze: „Niechaj was Bóg chroni i obdarzy was pokojem! Nasza uczta pożegnalna została okrutnie przerwana". Goście podnieśli się, aby mu towarzyszyć. Ale Lopo Vaz przeszkodził im w tem i w imieniu wicekróla zabronił komukolwiek opuszczać dom. Wszyscy usłuchali. W towarzystwie dwóch tylko sług udał się Dom Luis na brzeg i wsiadł do łodzi, przygotowanej dlań. Przy pożegnaniu rzekł do Lopo Vaza: „Powiedzcie wicekrólowi, że teraz królestwo to należy do niego, później jednak do kogo innego".

Dom Luis, który był bardzo ostrożny, nie odwiedzał brata od jego przyjazdu, aby wicekról nie mógł podejrzewać, iż naradzają się oni wspólnie. Gdy przejeżdżał koło jego okrętu, ujrzał rachmistrza, który komunikował jego bratu poselstwo wicekróla. Dom Luis

rzekł doń: „Panie audytorze, aby pan nie był winien straty okrętu, należącego do króla, zaczekaj pan. Wydam go wam, jeśli chcecie związanego łańcuchami, i zrobię wszystko, aby służyć wicekrólowi“ Wszedł na okręt, i bracia uściskali się wśród łez. „Bracie mój“, rzekł Dom Luis, „proszę cię gorąco, zrób to dla mnie i poddaj się tej odmianie losu, gdyż przychodzi ona często niespodzianie pośród radości życia. Chodź, udajmy się natychmiast na pokład Castello. Co czyta audytor, niech cię nie obchodzi, gdyż wicekról wykroczył daleko poza granice swych uprawnień“. Dom Duarte nie był człowiekiem, którego łatwo było przywieść do wściekłości. To też odparł bratu: „Podniecenie twoje, bracie, boli mię bardziej, niż najstraszliwsze groźby wicekróla. Jedźmy do Portugalji. Jeśli Bóg zawiedzie nas tam, to i innemi sprawami pokieruje wedle swej woli“. Udali się na Castello, a Dom Duarte rzekł do audytora: „Idźcie w pokoju i powiedzcie temu, który was przysłał, że wola jego stała się i musiała się stać w tym kraju, który teraz należy doń“.

Nazajutrz posłał wicekról skarbnika Afonso Mexia do Dom Duarta ze stanowczem żądaniem tylu a tylu tysięcy pardaos, które ma

zapłacić, gdyż należą one do króla. Dom Duarte odparł, iż faktorję, w której zarobił tyle tysięcy pardaos, podarował mu król i że zda Jego Królewskiej Mości rachunek z tego. Dom Duarte obawiał się, iż wicekról każe szukać jego pieniędzy, aby mu je odebrać. Dlatego też zaraz po przybyciu umieścił je w bezpiecznem miejscu. Była to jednak tylko mała suma; większa część jego majątku składała się z drogocennych kamieni, skrzyni bogatych, złotych naczyń, pereł i klejnotów, które posiadały wysoką wartość. Zapakował on wszystko to w jedną skrzynię i oddał ją w tajemnicy zaufanemu przyjacielowi swemu, generalnemu wikaremu Bastião Piresowi. Do spisku należał też jeszcze pewien stary nauczyciel, który go wychował. Wsiedli oni nocą do łodzi czarnych malabarczyków i wylądowali poza miastem. Łódź odjechała znowu, a dwaj mężczyźni zabrali skrzynkę. Żelazną łopatą, którą przywieźli w tym celu, wykopali dół w piasku, wstawili tam skrzynkę, pokryli ją znowu piaskiem i jako znak położyli czaszkę oślą. Określili położenie według klasztoru św. Antoniego, ale niezbyt dokładnie, gdyż było to w nocy. Potem odeszli, aby się położyć spać. Przy tem wszystkiem nie spotkali nikogo.

Nazajutrz rano poszedł wikary na przechadzkę po wybrzeżu. Widział on dokładnie, gdzie znajdowała się czaszka, gdyż była ona jedyna na całem wybrzeżu, i określił teraz dokładnie położenie miejsca wobec muru klasztornego. Rozmawiając potem z innymi duchownymi, począł rzucać w tem miejscu oszczepem w mur. I inni rzucali oszczepami, tak iż na murze pozostały wyraźne znaki. Kapłan zamierzał udać się tam w nocy z łopatą, aby wykopać skrzynię. Ale widocznie ktoś w przejściu potrącił czaszkę i zmienił jej położenie, gdy bowiem wikary przybył w nocy i począł kopać w tem miejscu, nie znalazł skrzyni. A gdy ani on, ani nauczyciel, który także przybył następnej nocy z łopatą, nie znaleźli nic, poczęli odtąd szukać co noc. Nauczyciel, idąc codzień na samotne przechadzki, nakłuwał ziemię, aby odnaleźć to miejsce. Wreszcie po wielu dniach, gdy już zwątpili zupełnie, natknęli się nagle na skrzynię. Bóg nie dopuścił, aby tak wielki skarb zaginął. Sam wikary generalny opowiadał mi tak tę historję.

Wicekról narządził okręty, które miały jako flota krążyć wzdłuż wybrzeża. Ponieważ w magazynach nie znalazł materjału artyleryjskiego, wydał takie samo ogłoszenie, jak

w Goa. Każdy, kto posiada sprzęt artyleryjski króla, winien go dobrowolnie odnieść do magazynów. Tych, którzy tego nie uczynią, a u których znajdzie się materjał artyleryjski, czeka kara śmierci. Jeśli ktoś rzeczy te kupił i posiada na to dowody, to musi je także oddać, a pieniądze, które za nie zapłacił, zostaną mu zwrócone. W ten sposób zebrano moc materjału artyleryjskiego, który oddawali kupcy. Gdy wicekról dowiedział się, że Fernan Martins Avangelho, faktor floty, przy podziale łupu ze zdobytego okrętu popełnił wraz z faktorem i pisarzami owej faktorji wspólne nadużycie, rozkazał uwięzić ich wszystkich i przewieźć do Cochymu. Wszyscy urzędnicy byli tem bardzo zaniepokojeni. Vasco da Gama chciał się dowiedzieć, przez jakie sztuki zbogacili się oni. W dalszym ciągu tępił wszelkie nadużycia. Bez wątpienia jest jego zasługą, że zaprowadził w Indjach prawidłowe stosunki, aby mogły one służyć królowi i dobru ludu. Nadewszystko zaś ustanowił znowu mocne prawa, które pierw były omijane.

Od kilku dni cierpiał wicekról na silne bóle krzyża. Szyja stała się sztywna, a na karku ukazało się kilka wrzodów, które były

bardzo twarde i mimo wszelkich zabiegów nie chciały się zebrać. Sprawiały mu one wielkie cierpienia, gdyż nie mógł poruszać głową. Do bólów tych przyłączyły się rozmaite zmartwienia i troski naskutek wydarzeń w kraju, które pogarszały stan jego zdrowia. Stawało się coraz gorzej, aż wreszcie wicekról położył się do łóżka. Stąd wydawał teraz wszelkie konieczne zarządzenia. Ale wymagało to od niego takiej pracy ducha, że wreszcie ogarnęła go śmiertelna choroba, a bóle odjęły mu nawet mowę. W tym stanie posłał on Lopo Vaza, doktora Pero Nunes, Afonso Mexia i audytora z sekretarzem Vicente Pedago do Dom Duarte. Mieli mu oni dać do podpisu akt, którym oddaje on Indje wicekrólowi i zrzeka się gubernatorstwa.

Panowie ci udali się do Dom Duarte i zakomunikowali mu swe poselstwo. Ten był już powiadomiony o stanie wicekróla i sądził, że w razie jego śmierci, zatrzyma swój urząd, gdyż nie zrzekł go się jeszcze i nikt go tego urzędu nie pozbawił. Dlatego odparł, iż oddanie gubernatorstwa i rachunku z niego winno się odbyć nie na morzu, gdzie on się znajduje, lecz u wrót twierdzy. Jest on gotów udać się tam niezwłocznie i zrzec

się swego urzędu; w inny sposób nic nie uczyni. Odpowiedź tę posłano przez gońca wicekrólowi. W liście do doktora Pero Nunes odpowiedział wicekról, aby zwrócono uwagę Dom Duarte, że jest on więźniem i może opuścić okręt tylko za zezwoleniem króla Portugalji. Dlatego nie może udać się na ląd. Akt zrzeczenia się ma być Dom Duarte wręczony, jeśli zechce go przyjąć; gdyż wicekról uważa już Indje za podwładne sobie. Jeśli zaś nawet nie chce się on zrzec, to sprawy nie ułożą się jednakże tak, jak on sobie wyobraża. Nadzieje jego są złudne. Po tem poselstwie wysłańcy mają powrócić na ląd. Tak też uczyniono. Na zlecenie wicekróla sekretarz sporządził akt, w którym opisane było wszystko, co się między nimi a Dom Duarte rozegrało, zaś wicekról wziął pismo to na przechowanie.

4. Śmierć Vasco da Gamy.

Wicekról czuł się poważnie chory. W nocy zawezwał przełożonego klasztoru św. Antoniego, swego spowiednika, z którym rozmawiał tajemnie. O tej porze nadeszły też do Cochymu z Ceylonu okręty z cynamonem.

Towar przeładowano na okręty odjeżdżające do kraju, które teraz były prawie pełne. Wicekról kazał o ile możności przyśpieszyć pracę. Wysłał także teraz do Portugalji okręt z listami. Francisco de Mendonça prowadził go jako kapitan i wyruszył 1 grudnia do ojczyzny.

Fernan Gomes de Lemos, były komendant Ceylonu, przybył z okrętami z cynamonem. Wicekról powziął o nim wiadomości, iż wiedzie on nieuczciwe życie, jest człowiekiem kłótliwym i prędkim do zwady, niepomnym na nic w swych występnych czynach. Na Ceylonie dopuścił się on wszelkich możliwych wykroczeń. Pewien człowiek o przezwisku Ganchinho szukał przeciw niemu sprawiedliwości u wicekróla. Fernan Gomes de Lemos kazał mu obciąć ramię aż do łokcia i wyciąć język. Gdy statek wjechał do portu, posłał tam wicekról swego głównego rachmistrza, który miał przywieźć od Fernana de Lemos piśmienne zobowiązanie, że nie opuści okrętu bez specjalnego zezwolenia. Jeśli nie da tego zobowiązania, zostanie zakuty w kajdany i jako więzień przetransportowany do więzienia. Świadectwa z Ceylonu miał audytor zebrać Tak się też stało.

Gdy wicekról uczuł zbliżającą się śmierć, kazał się przenieść z twierdzy do domu Diogo Pereiry, znajdującego się tuż przy kościele. Tam wezwał Lopo Vaza de Sampayo, Afonso Mexia, skarbnika i sekretarza. Wziął od nich pod przysięgą słowo, że będą sumiennie spełniali jego rozkazy, aż obejmie rządy gubernator, który będzie wyznaczony na jego następcę. Sekretarz spisał to przyrzeczenie, a oni podpisali je. Potem rozpuścił ich. Następnie wicekról sporządził pismo, w którem dawał im przepisy postępowania: Nic z tego, co on zarządził, nie będzie zmienione lub unieważnione. Zarówno w sądownictwie, jak i w zarządzie podatkowym wszystko ma być prowadzone wedle jego dotychczasowych przepisów. Po śmierci jego mają złożyć wszystko w ręce gubernatora, który będzie naznaczony. Syn jego Estevan wręczy im kasetę z aktami, należącą do króla. I tę mają wręczyć jego następcy. W piśmie swem wyszczególnił wicekról dokładnie wszystko, co ma się dziać, póki władza nie zostanie przekazana nowemu gubernatorowi.

Po dokonaniu tej pracy wicekról nie troszczył się już o nic; spowiadał się i jako dobry katolik przyjął sakramenty św. w wielkiej

pobożności. Sporządził testament, w którym nakazał synowi powrócić na okrętach, które teraz odjeżdżają do ojczyzny, zabrać cały swój majątek, nic nie sprzedawać, a także wszystkich swych służących zawieźć z powrotem do domu. Ci, co będą chcieli pozostać, mają otrzymywać dotychczasowy żołd, gdyż ofiarowali oni służby swe królowi. Ubrania i rzeczy jedwabne, które używane były w gopodarstwie domowem, mają być przekazane kościołowi i szpitalowi. Kobietom, które kazał wychłostać w Goa ofaruje po 100 000 rejsów, które mają im być wypłacone w tajemnicy. Jeśli nie zechcą przyjąć tych pieniędzy, to podwójna suma ma być ofiarowana domowi Miłosierdzia św. Kobiety te znalazły później ze swemi pieniędzmi dobrych mężów, poślubiły ich i wiodły porządne życie. Jako dobry chrześcijanin uregulował Vasco da Gama swe sprawy i zaznał pociechy Kościoła. Zarządził, aby zwłoki jego przewieziono do ojczyzny, co się też później stało. Aż do ostatniej chwili był przy pełnym rozumie. W świętą noc Chrystusową, 24 grudnia 1524 roku, o godzinie 3 po północy oddał ducha. Chwała niech będzie Panu!

Śmierć jego trzymano w tajemnicy aż do wieczornych dzwonów. Tak długo wszystkie

drzwi były zamknięte, a płacz ani skargi nie rozległy się, aż wszystko zostało przygotowane. Wówczas dopiero synowie jego i słudzy wśród głośnych jęków i żalów dali upust swemu bólowi. Wielu szlachciców, przyjaciół i krewnych zmarłego, przyszło zaofiarować swą pomoc. Wkrótce nadbiegli też na dziedziniec mieszkańcy miasta, a wszyscy wyrażali swój ból.

Zwłoki spowinięto w jedwabne szaty i nakryto płaszczem Zakonu Jezusowego. Na piersi położono miecz ze złoconą rękojeścią, do ciemnych butów przypięto złote ostrogi, a głowę przykrył ciemny beret. Tak wystawiono zwłoki na widok publiczny w hali zmarłych Bractwa Miłosierdzia. Szlachcice w płaszczach zakonnych zanieśli tam ciało na ramionach, towarzyszyli im słudzy ze świecami i tłum ludu. Potem przeniesiono zmarłego do klasztoru św. Antoniego i tam złożono w głównej kaplicy. Grobowiec otoczono czworokątną kratą, obitą czarnym aksamitem. Aksamitna kapa, obszyta czarnemi i białemi frendzlami, pokryła płytę. Nazajutrz odprawiono w kaplicy uroczyste nabożeństwo, w którem wzięła udział cała szlachta. Synowie zmarłego stali wśród mnichów i pozostali przez całą noc w klasztorze, aby się oddać żałobie. Jest to

zrozumiałe przy stracie tak czcigodnego ojca, który takie zasługi położył dla Królestwa Portugalskiego. Pan dał mu ducha dzielnego i mocnego, tak iż bez śladu trwogi ludzkiej stawił czoło licznym niebezpieczeństwom śmiertelnym przy odkryciu Indyj, o których opowiada nam historja. Wszystko czynił z miłości do Boga, dla wzmożenia wiary katolickiej i zwiększenia sławy i chwały Portugalji, której Bóg w swej dobroci pozwolił wzrosnąć aż do dzisiejszej wielkości. Chciał on służyć Bogu i przez to pracować dla własnego zbawienia i w tym duchu ruszył w podróż odkrywczą do Indyj, do których Bóg pozwolił mu dotrzeć. Dla chwały Najwyższego pobudowano tam kościoły i klasztory, a wiele powstało tam nowych gmin chrześcijańskich z licznemi nawróconemi duszami, których zyskała nasza święta wiara.

Synowie wicekróla, Dom Estevan i Dom Paulo, zebrali swych służących i spełnili wszystkie życzenia ojca. Na okręcie kupieckim powrócili obaj do Portugalji. Król przyjął ich z wielkiemi honorami. Ból jego po stracie ich ojca był wielki, gdyż utracił w nim dobrego wasala, po którym mógł się jeszcze spodziewać wielu rzetelnych służb.

OBJAŚNIENIA.

[1] Arcykapłan Jan, legendarny władca chrześcijański na Wschodzie. Wspomina o nim Marco Polo, podróżnik wenecki XIII w. (patrz: „Na dworze Wielkiego Chana"). W owym czasie przypuszczano, iż był on królem Keraitów w Karakorum w Mongolji. W w. XV legenda przeniosła państwo jego do Abisynji.

[2] Cananor, Cananore, port Indostanu. W posiadaniu portugalskiem od r. 1505 do 1663.

[3] Calicut, Calecut, ważny port i miasto handlowe wybrzeża indostańskiego w wieku XVI, główne miasto Madrasu. W posiadaniu portugalskiem od r. 1510 do 1772. Nie mieszać z Kalkuttą, stolicą Bengalu.

[4] Goa, port na wybrzeżu indostańskiem. W posiadaniu portugalskiem od r. 1510. Mieszańcy Portugalczyków i Indusów znani są jako Goańczycy i cenieni w Indjach i Afryce Wschodniej jako pisarze i personel biurowy.

[5] Ofir, legendarna kraina biblijna, o której wspomina król Salomon, wymieniając jej niezmierne bogactwa; przypuszczano, iż znajduje się ona w Afryce.

[6] Legua, dawna miara długości, równa w Anglji, Francji, Hiszpanji i Portugalji trzem milom morskim. Stara legua (legua regular antiqua) miała dokładnie 5572,7 metrów, nowa legua — 6687,24 m.

[7] São Thiago, Santiago, największa wyspa archipelagu Zielonego Przylądka.

[8] Zatoka św. Heleny, na północ od Kapsztatu. Zatoka ta dziś jeszcze nosi nadaną jej przez Vasco da Gamę nazwę.

[9] Zatoka São Braz, nazwę tę nadał obecnej zatoce Mossel (na południowo-wschodnim krańcu Afryki, na wybrzeżu Kaplandji) Bartolomeo Diaz.

[10] Zatoka Delagoa, na południe od ujścia rzeki Limpopo na wybrzeżu południowo-wschodniem Afryki. Nazwana tak przez Portugalczyków, gdyż statki ich w XVI wieku zatrzymywały się tam w powrocie z Goa w Indostanie do Europy, podczas gdy w podróży do Goa wokół przylądka Dobrej Nadziei zawijały do zatoki Algoa, na wschód od São Braz. Zatoka Delagoa dziś jeszcze jest wyjątkowo ważnym węzłem komunikacji, gdzie stale zawija mnóstwo parowców.

[11] Mombassa, ważny punkt handlowy i portowy XVI w. na pobrzeżu wschodnio-afrykańskiem.

[12] Melinda, Melindi, podobnie jak Mombassa ważny port i ośrodek handlowy wschodniego wybrzeża Afryki.

[13] Wyspy Anjediva, na południe od Goa.

[14] Mozambik, Moçambique, miejscowość na południe od Rovumy na wybrzeżu wschodnio-afrykańskiem. Miasto tejże nazwy leży na wysepce naprzeciw wybrzeża. Obszar ten od roku 1507 znajduje się w posiadaniu Portugalji.

[15] Malakka, ważny port półwyspu Malajskiego w Indochinach. W roku 1511 dostała się ona w ręce portugalskie, w 1641 została zdobyta przez Holandję, która utraciła ją w 1795 na rzecz Anglików. W XVI i XVII wieku była Malakka ważnym węzłem komunikacyjnym dla handlu ze wschodnim krańcem archipelagu Malajskiego, Molukkami.

[16] Koczin, patrz, [18] Cochin.

[17] Quiloa, na południe od Zanzibaru i Mombassy

[18] Cochin, Cochym, Koczin, port na wybrzeżu Indostanu.

[9] Diu, port na wybrzeżu półwyspu Gudżerat, Indostan. W posiadaniu Portugalji od r 1535.

[20] Malabar, południowa część zachodniego wybrzeża Indostanu. Przez tubylców zwana Malajanam, kraina Gór.

[21] Terra alta, okolica Point Elbow, na południe od przylądka Bojador, Afryka zachodnia.

[22] Rio do Ouro, zatoka nieco na północ od zwrotnika Kcziorożca.

[23] Do Sal, jedna z wysp archipelagu Zielonego Przylądka.

[24] Santiago, patrz [7] Sâo Thiago.

[25] S—południe, N—północ, O—wschód, W—zachód; w połączeniach: SW—południo-zachód, SSO—południo-południo-wschód i t p.

[26] Quoquas, zapewne delfiny.

[27] Fad, dawna miara głębokości, równa 1,88 m.

[28] Alemtejo, prowincja w Portugalji.

[29] „Płaska Wyspa“, „Wyspa Krzyża“, obie w pobliżu zatoki Algoa, patrz [10] Algoa.

[30] Gorący prąd Mozambicki i jego przedłużenie prąd Agulha; oba one biegną wzdłuż wschodniego wybrzeża Afryki ku południowi i sięgają aż do półwyspu Kap-

[31] Quartilho, miara objętości, równa ok. $^3/_4$ pinty, pinta: 0,93—0,95 litra.

[32] Almadia, mała, lekka łódka.

[33] Touca, zapewne turban.

[34] Szkorbut, choroba pochodząca ze złego odżywiania się, a polegająca na podskórnych wylewach krwi i krwawieniu oraz owrzodzeniu jamy ustnej, zwłaszcza dziąseł.

[35] Rio dos Bons Signáes, rzeka Dobrych Znaków, Qu limane, odnoga ujścia Zambezi.

[36] Zapewne trzy z wysp Primeira, między Quilimane a Mozambikiem.

[37] Anafies, po arabsku el nafir.

[38] Mauiowie, miano to nadali Portugalczycy i Hiszpanie Arabom, osiadłym do końca XV wieku na półwyspie Pirenejskim. W okresie odkryć nazwę tę stosowano do wszystkich mahometan. W niniejszem sprawozdaniu oznacza to Arabów.

[39] Chrześcijanie, o których często jest tu mowa, nie mogli być nimi w rzeczywistości. Rzekomi chrześcijanie w Indjach byli, jak widać z opisu świątyni i służby bożej, Hindusami i wyznawcami bramanizmu. Patrz również str. 24. W danym wypadku niepodobna ustalić, czy szło tu o chrześcijańskich mieszkańców Abisynji i Armenji, czy też o wyznawców Kryszny.

[40] Miskal, miara podstawowa rozpowszechnionego na Wschodzie systemu wag, równa ok. 4,5 — 4,6 grama, w złocie przedstawia wartość ok. 12 szylingów.

[41] Bombarda, średniowieczne działo, nabijane kamiennemi kulami.

[42] Szeryf, książe arabski, muzułmanin pochodzący od Mahometa.

[43] Wyspy Kerimba, na południe od Rovumy.

[44] Wyspy Przylądka Delgado, na płn. od poprzednich.

[45] Quiloa, dzisiejsza Kilwa Kisiwani, patrz [17].

[46] Mafia, wyspa przy wybrzeżu wschodnio-afrykańskiem.

[47] Archipelag Pemba, na południe od Mombassy.

[48] Zavra, barka.

[49] Benapo, Mtwapa.

[50] Toça, Takaungu.

[51] Nuguoquioniete, Kilifi.

[52] Balandrau, długi płaszcz.

[53] Anafil, trąba.

[54] Chrystus, mogło to również brzmieć Kryszna por. str. 24

[55] Quyluee, Quiloa, patrz [17] i [45].

[56] Alcouchette, miasto w pobliżu Lizbony w Portugalji.

[57] Qualecut, Calicut, patrz [3].

[58] Morze Arabskie, w Azji.

[59] Cieśnina Bab-el - Mandeb, między płw. Arabskim a Afryką.

[60] Quambay, Cambay w Gudżeracie.

[61] Kaaba, świątynia mahometan w Mecce, gdzie przechowywany jest święty kamień.

[62] Capua, najprawdopodobniej w ujściu rzeki Elatur, na płn. od Calicutu.

[63] Pandarani, Pantharini Kollam, na płn. od Calicutu.

[64] Bale, burmistrz.

[65] Alkalde, wyraz pochodzenia arabskiego, który przedostał się na półwysep Pirenejski i wszedł do języka hiszpańskiego i portugalskiego; oznacza tyle co burmistrz, starosta, naczelnik gminy.

[66] Matka Boska, obraz ten przedstawiał zapewne Krysznę i jego matkę Devaki; legenda o nich zbliżona jest do legendy o narodzeniu i dzieciństwie Chrystusa.

[67] Quafees, kapłani bramańscy

[68] Szałamaja, rodzaj fletu lub piszczałki.

[69] Almude, miara objętości, 8 pint, [31] pinta,

[70] Palma, miara długości równa 30,5 cm.

[71] Atambor, betel, zwany też sir, produkt służący do żucia, a składający się z plasterka niezupełnie dojrzałego orzecha betel. Orzech ten, wielkości jaja kurzego, jest owocem palmy betel, pięknego, smukłego drzewa o wysokości około 20 m. Orzech zawiera łuskę, tłuszcz i alkaloidy. Spożywany w większych ilościach działa narkotycznie. Ten orzech betel zawija się wraz z wapnem ziarnistem lub ciastem wapiennem w świeży liść pieprzu betel. Taką paczuszkę kładzie się do ust jak tabakę do żucia Przy żuciu betelu występuje silne wydzielanie śliny, która wskutek barwnika, zawartego w świeżych liściach pieprzu betel, zabarwia się na czerwono. Narkotyk ten rozpowszechniony jest szeroko w całych Indiach Wschodnich, Melanezji i zachodniej Mikronezji. Ostatnio spotyka go się i na wybrzeżach Afryki Wschodniej, dokąd sprowadzili go Hindusi.

[72] Fanâo (liczba mnoga fanôes), moneta i waga srebra w portugalskich Indjach Wschodnich. Wartość w rozmaitych okolicach Indostanu i Indochin oraz w rozmaitych wiekach bywała różna. Według powyższego porównania, fanâo odpowiadał 15 rejsom portugalskim czyli ok. $8^1/_2$ groszy.

[73] Xerafin, moneta wartości dwóch rupij indostańskich.

[74] Imgros, zapewne Ormuz, wyspa u wejścia do zatoki Perskiej.

[75] Cillan, Ceylon.

[76] Melegua, port Malakka na półwyspie Malajskim.

[77] Dżidda, port Mekki nad morzem Czerwonem

[78] Tuuz, zapewne Suez.

79 Cruzado, stara moneta portugalska i hszpańska; portugalski cruzado velho (stara korona) składał się z 400 rejsów i miał wartość około 2 zł. 24 gr.

80 Indje Dolne, Abisynja, patrz [1] arcykapłan Jan.

81 Roette, Rosette, na wschód od Aleksandrii.

82 Copia, zapewne Cananore, patrz [2].

83 Zapewne wyspy Anjediva, patrz [13]

84 Fusta, mały statek sterowo-żaglowy.

85 Tambaram, wyraz ten oznacza tyle co Pan, Mistrz.

86 Magadoxo, Mogdiszu na wybrzeżu Somali.

87 Milingue, Melinda, patrz [12]

88 Pate, wyspa i miasto tejże nazwy, mniej więcej pod 26 st. szer. płd., na północ od Witu.

89 Tamagate, Mtangata, na płd. od Mombassy.

90 Jamgiber, Zanzibar, wyspa ze stolicą tejże nazwy na płn. od Quiloa.

91 Anchovis, anchois, gatunek małych rybek z rodzaju śledzi, właściwych oceanowi Atlantyckiemu i morzu Śródziemnemu.

92 Mielizny Rio Grande, kanał Orango pomiędzy wyspami Bissagos a lądem stałym.

93 Karawela, lekki statek żaglowy.

94 Cochym, patrz [18] Cochin.

95 Dabul, na płn. od Goa.

96 Chaul, na płn. od Dabulu.

97 Belem, miejscowość w pobliżu Lizbony.

98 Pardaos, patrz [73] xerafin.

99 Paraos, okręty.

100 Cranganor, między Koczinem a Calicutem.

101 Dom Luis de Menezes, brat gubernatora Indyj, po którym nastąpił Vasco da Gama, jako wicekról.

102 Vereadores, członkowie rady miejskiej.

103 Galeota, statek jednomasztowy.

104 Catur, mały indyjski statek wojenny.

105 Brygantyna, statek korsarski.

106 Resxarafo, Reis ul Sharafa.

107 Kraj arcykapłana, Abisynja, patrz [1]) arcykapłan Jan.

108 Masowah, Massaua, port na morzu Czerwonem.

109 Wybrzeże Fartaque, Badalcuria, wybrzeże południowo-arabskie, na wschód od Malakki.

110 Baticala, na płd. od Goa.

111 Aden, port arabski nad zatoką tejże nazwy.

112 Biliguin, pachołek, zbir.

6494-I

Biblioteka Publiczna
im. E. Bwk[illegible]

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
76967/I/1.